MARJA JEHANNE WIELOPOLSKA



ŚWIATPOL



gpd . 52. 30.000 H-6/662

MARIA JEHANNE-WIELOPOLSKA

KRYJAKI

O SZEŚĆDZIESIĄTYM TRZECIM ROKU
OPOWIEŚĆ

Z PRZEDMOWĄ
STEFANA ŻEROMSKIEGO

"Wstań Polsko, z tego co
nazywają Twoim grobem —
ja wiem, że to Twoja kolebka"
(Lamennais)



LONDYN 1945
WYDAWNICTWO ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU
POLAKÓW Z ZAGRANICY

MARIA JEHANNE-WIELOPOLSKA

KRYJAKI

O SZEŚĆDZIESIĄTYM TRZECIM ROKU
OPOWIEŚĆ

Z PRZEDMOWĄ
STEFANA ŻEROMSKIEGO

"Wstań Polsko, z tego co nazywają Twoim grobem — ja wiem, że to Twoja kolebka"
(Lamennais)



LONDYN 1945
WYDAWNICTWO ŚWIATOWEGO ŻWIĄZKU
POLAKÓW Z ZAGRANICY

Okładkę projektował
PROF. W. JASTRZĘBOWSKI

Złożono według
wydania pierwszego
Spółki Nakładowej
KSIĄŻKA, Kraków 1913

Printed in Scotland, by Allan Fowler Ltd., Glasgow C.1.,
for The World League of the Poles
Abroad. 38, Wilton Crescent, London, S. W. 1.

W pięćdziesiątą rocznicę styczniowego powstania: Polskiej Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej — wszystkim Jej stowarzyszeniom i zrzeszeniom, jawnym i tajnym, we wszystkich trzech zaborach.

Autorka

Kraków, 1913.

Autorka niniejszego utworu zwróciła się do mnie z życzeniem, ażebym — jak to jest zwyczaj — poprzedził go słowem wstępnym, — w tej zapewne nadziei, że taka przedmowa będzie w danym wypadku z wielu względów pożądana. Utwór, noszący nazwę „Kryjaki", nie potrzebuje niczyjego zalecenia, sam przemawia za siebie i będzie się sam skutecznie domagał o pamięć w piśmiennictwie polskim. Nadto — umieszczone pod przedmową moje imię i nazwisko, tak źle widziane w obozie konserwatyzmu, a przez krytyków tego obozu tylekroć skazane na wyszczucie psami z literatury ojczystej, nie tylko nie zdoła przyczynić się do usłania w niej drogi kwiatami, jakbym tego pragnął, temu pismu o roku sześćdziesiątym czwartym, lecz przeciwnie może powołać do napaści na nie i do zatłumienia wieści o jego pięknie zespół pisarski, zawsze przeciwko mnie sprawnie uszykowany.

Wszakże, tak źle tusząc o losie swego pośrednictwa w tej sprawie, skwapliwie je podejmuję. Czynię to z tego względu przede wszystkim, że zbyt głęboko i zbyt powszechnie odczuwać się daje niewola sztuki w Polsce, zleconej przez bierność ogółu w niepodzielne władanie oraz kierownictwo — dziennikarzom. Literatura polska od dawien dawna zgodziła się na służbę do sprawy ojczystej i nie wyrzeka się swej pańszczyźnianej doli, aczkolwiek doskonale wie, jak dalece wskutek tego pozostaje w tyle, poza szlakami wolności tworzenia niczym nie krępowanego. Co gorsza, nad tym jej obowiąz-

kiem, którego porzucić nie sposób, przewodzi niejeden rozwielmożniony karbowy, a niejeden ekonom potrąca ją według swego widzenia rzeczy w ekonomskim kierunku. Zamiast wzywać i zagrzewać do głębokiej uprawy, orki, bronowania i umiejętnego przetworzenia samego życia, — włódarze dziennikarscy popychają tam i sam sztukę — i jej to, niejednokrotnie harapem, zlecają ten poruczony zakres działania. Krytyka, mianująca się artystyczną, sądzi utwory literackie ze stanowiska takiej lub owakiej polityki, — spiera się i prawuje z pisarzami o ich mniemania polityczne, albo o ich pasje społeczne, — poniża ich lub wynosi niezasłużenie, — częstokroć poniewiera i znieważa za rewolucyjne, radykalne, albo, odwrotnie, za umiarkowane, ostrożne przekonania, — a, jak to dobrze wiemy z przypadku Cypriana Norwida, potrafi nawet wielkich artystów ośmieszyć, wdeptać w niepamięć, w nędzę, w rozpacz i w daleki, pospólny grób wygnania.

Wydawać by się mogło, że dla krytyki, mianującej się artystyczną, drugorzędna, albo nawet obojętna to będzie sprawa, jakie mniemania polityczne pisarz wyznaje, jakiemu poglądowi na społeczny porządek rzeczy oddaje pierwszeństwo, czy jest katolikiem praktykującym, albo ateuszem, — że roztrząsanie i ważenie artystowskiej wartości dzieła będzie jej zadaniem.

Byliśmy niedawno świadkami napaści krytyków na Henryka Sienkiewicza za jego przekonania. Obecnie moda jest w krytyce polskiej — poza bardzo nielicznymi wyjątkami, — na szarpanie i bezczeszczenie utworów, które by rewolucyjnego ducha w sobie taiły, — jeżeli nawet utwory te posiadają cechy artyzmu, uznanego przez tę samą krytykę. W „opowieści“ Marii J. Wielopolskiej pod tytułem „Kryjaki“, pomiędzy wierszami tak zwanej fabuły raz wraz połyskuje ostrze sarkazmu, złośliwej cytaty — ni to ostrze cienkiego, a przedziwnie bogato zdobionego sztyletu, który

w niejednej ranie bywał. Broń ta ukazuje się i znika, kryje się, lecz zawsze każe o sobie pamiętać. Podobnie w fałdach szaty niewiast włoskiego średniowiecza bywała, jako ozdoba i pomocnik, wspierający serce głęboko i aż do śmierci czujące, pozwalający obliczu zachować wytworne zimno spokoju. Na bezcennej rękojeści wspiera się dłoń nieulękła, gotowa uderzyć w serce wroga głęboko znienawidzone.

Obawiam się, że te międzywierszowe połyski bardzo ciężko zaważą na losie utworu. Nie przeważy siła i artyzm dzieła mniemań i pasji twórczyni, tak źle widzianych przez współczesnych sędziów literatury polskiej. Tymczasem — artystyczny sposób Marii J. Wielopolskiej taki jest właśnie, jaki się tu przejawia. Cokolwiek by powiedziano o tym sposobie, przez jego użycie wydobyty został potężny głos, pierwszy w literaturze, o straszliwym roku powstania. Klechda domowa, w ciemną noc szeptana dygocącymi wargami przez tych, co widzieli, dzieciom, co drżą przed okrucieństwem widziadła, miesza się tutaj z wersją publiczną, z cytatą historyczną, albo z przeklinającą, ślepą, mściwą, śmiertelną, pół-publiczną pół-prawdą, pół-inwektywą. Głęboka i jedyna dzisiejszych wiara, że „lud uświadomiony wstanie znad pługów i przemówi sam ołowiem za siebie i za nas"... *pada z ust księdza Brzózki.*

Widzenie czarujące jasnej panny, którą kleryk „krzyżem na czatach leżący" za anioła poczytywał, — ustępuje miejsca przeszywającej legendzie o panu Majewskim, co w kajdany zakuty patrzy na żonę wśród Moskali tańczącą i raz wraz otrzymuje cios „w mordę"...

W obrazy pól i siół, kościołów, lasów-miasteczek, snujące się w oczach skazańców na śmierć wiezionych, wrzynają się szczegóły o podlaskim biskupie, albo o tym księdzu Tomaszewskim, straszliwszym od Szeli, co „z ambony wygłaszał, żeby lud wyłapywał powstańców i znosił na probostwo ich

ręce i nogi, za co on sam będzie im wypłacał po trzy ruble od sztuki"...

Nie wydaje mi się odpowiednią nazwa „opowieści", położona pod tytułem tego dzieła.

Jest to potężna i ponura symfonia, która z władzą i siłą, równą władzy i sile muzyki — odchyla czarną zasłonę skonu polskiego powstania. Jakaż fantazja zdoła być wyższą, bogatszą, bardziej wieloraką nad rzeczywistość tych dziejów? To też pisarka tych kart podaje tylko fakty, wyrwane z piekła ruiny, — i klechdy, co się zostały w duszach ludzi, nie jako wspomnienie, nie jako uczucia, nie jako płacz, lecz jako zimne i proste wieści wieczne, podobne do odmian zbiorowego snu plemienia, — mity o nieśmiertelnej piękności cierpień bohaterów i o najwyższej polskiej ofierze.

Wśród nich tam i sam przemyka się obraz niezapomnianego wdzięku, jak ów, gdy niewiadoma dziewczyna z pałacu „o krwawych lakach nigdy niecałowanych ust" zjeżdża po urwisku parowu do powstańczego schronienia, — albo gdy ksiądz Brzózka pojmany patrzy na ważkę-świteziankę, siadającą na wargach pobitych jego żołnierzy, — a nade wszystko ta genialna, ze stendhalowską intuicją podana prawda panu Wilczyńskiemu, który idąc na szafot, pociesza się myślą, że urodziwa dziewczyna, za żonę mu przeznaczona — to beksa, której nie warto żałować... Niepodobna, oczywiście, przewidzieć, jak krytyka polska przyjmie ten utwór, czy go nie napiętnuje za idee pisarki, — może i za niniejszą przedmowę... Myślę jednak, że sędzia przysięgły, ogół polski, doczyta się w tych kartach uczuć swych własnych, mocy swego honoru, istoty swej hańby, istoty swego narodowego bohaterstwa — i upodoba sobie w owych „Kryjakach", jako w księdze swej własnej.

STEFAN ŻEROMSKI

I.

GRANDGARDA

Zgnoili swoją ziemię krwią, pracowicie. Buńczuczny ich sen wydawał im się coraz śmielszy i głębszy i coraz czarowniejszy — a byli jak ów, który śpi i nie wie, że ktoś z boku coraz krytyczniej i niechętniej na niego patrzy. Tylko geniusze karmić można systematycznie: gorczycą, tylko ofiarników: ołowiem bez ujmy dla dostojności ich żołądków.

Raczono ich tedy ołowiem, systematycznie, prawie że z macierzyńską pieczołowitością.

Czynili wrażenie, że są jak ten cesarz krotochwilny, który za życia pogrzeb sobie własny urządził, na katafalk wnieść się kazał, położyć w trumnie i śpiewać nad sobą requiescat.

Tylko że nad nimi, oprócz wichrów podlaskich, jesiennych i oprócz szumiących drzew, nikt nie śpiewał i nie grał.

Mieli — gdzieś — kiedyś — orkiestrę, ba! i jaką! Jeden klarnet i jeden bęben, jak żuawi Rochebruna, ale klarnecistę nadział na bagnet (już dawno!) młody podoficerek ze Smoleńskiego pułku... na amen nadział... a bęben podziurawiły kartacze, także na amen. Nad ich zgoła niecesarskim pogrzebem śpiewały więc tylko wichry, no i te zmurszałe drzewa podlaskie, zestraszałe, obierane z liścia.

Zniknął śliczny sztandar, haftowany przez panny wojewodzianki sandomierskie, a niesiony przez młodziutkiego chorążego, którego imienia nikt się nigdy nie dowiedział. Padł i młodziutki chorąży. Sczezły piękne szare sukmany z zielo-

nymi wyłogami, którymi przybrał ich grzbiety pan pułkownik Krysiński.

Ani śladu mundurów.

Garderoba ich, to właściwie coś, czego nazwać nie można żadnym krawieckim terminem. Kolor jej tylko jest zdecydowanie brunatnym. Brunatne są resztki sukna, wiszące ochłapami na brunatnych resztkach koszuli, z której prześwieca zwycięsko brunatne, owszone ciało — widoczne najbardziej na łokciach, na kolanach i na tej niestety części poniżej krzyża, nie nadającej się w przyzwoitym towarzystwie określić.

Najlepiej stosunkowo trzyma się podkasana sutanna księdza dowódcy, choć i ona już na wszystko filozoficznie patrzy wytrzeszczonymi otworami łat, pękniętych szwów i niedyskretnych szczelin.

Nie mieli już nic ludzkiego, co by ich oczy cieszyło i podniecało duszę.

Inaczej walczy się i ginie wśród palby nowiuteńkich ruśnic, pstrokacizny szykownych mundurów, we wspaniałym łopotaniu drogich nade wszystko sztandarów, ze śmiercionośną, śliczną bronią w ręku — niż ot tak, jak oni, w leszczynie i bagnach, mając przepalone kominki u luf, lufy zaś bez bączków, siekiery tępe, poszczerbione kosy i zaledwie kilka cali sukna na grzbiecie.

Zmuszeni byli mieć bohaterstwa dozę podwójną, tę mianowicie, która tkwi wewnątrz bohatera, i tę, którą dopiero wytwarza podnieta jakaś zewnętrzna, wrażenie stałe, zewnętrzne: symbole jakieś porywające, znaki jaskrawe, pobudzające dźwięki.

Bo do podwojonych wysiłków trzeba mieć bohaterstwa dozę podwojoną.

Oni wrażeń zewnętrznych, podniet zewnętrznych nie mieli żadnych. Nic.

Las głuchy, zimny — schronisko im — ale i zasadzce wroga

schronisko — i trochę tego żelaziwa marnego w ręku, co Ojczyźnie drogę ścielić miało do wolności.

Później, znacznie później, inni bojownicy sprawy świętej mawiali, że łatwiejsze były te ich boje, niż ciche, przekorne, tragiczne mocowanie się podziemnej rewolucji z przemocą — ale ach! gdyby późniejsi bojownicy cofnąć się mogli wstecz i spojrzeć w otchłanie lasów, gdzie ginęli ci bezimieńcy, również cicho, bezzgiełkliwie, z zaciśniętymi zębami, nie mając nawet dziecinnego zaszczytu chorągwianej płachty na froncie — ani błyszczącego munduru, ani broni niezawodnej — ani nadziei, że wyjdą cało.

Dochodziły ich wieści ze świata — jak spod ściany trumiennej, że opadły już braciom ramiona z wysiłku — że jednak przetrzymać trzeba chwilę i czekać aż znowu wrócą ci, co się cofnęli na spoczynek, a kości poległych, wygnanych, skatowanych pobudzą nowe szeregi.

Stali tedy jak ostatnia grandgarda na progu Ojczyzny — nie nadsłuchując nawet, czy ona rusza do boju. Po co nadsłuchiwać?

Wierzyli ślepo, że tam poza nimi, poza ich wedetą, wysuniętą na ostatni, cmentarny już kraniec — że zbroją się cicho tysiące, ostrzą się bagnetów i szabel tysiące, kulbaczą się koni tysiące. Tej wielkiej, powstającej armii oni są wedetą, której zejść z posterunku nie można, ani spocząć.

Jakżeby się gotowali tamci, gdyby nie wiedzieli, że stoi straż milcząca nad płomieniskiem ich marzeń, ich byłych i przyszłych walk?

Sztandaru nie mieli, bo sami byli sztandarem. Historii nie mieli, bo sami byli historii kartą najpiękniejszą.

A może była to tylko historia lasów? polskich lasów? Tego tabernakulum Narodu, w którym przechowywała się jego treść najgłębsza, niepokalana hostia jego bytu?

Chwilami zdawało im się, że wystarczy przyłożyć ucho do ziemi, aby usłyszeć tętent koni ułańskich i przeciągłe dudnie-

nie marszu piechoty i furkot czerwonych sztandarów, przeciętych na krzyż: białą linią orlich skrzydeł.

I ten śpiew, jak łoskot morza, jak łoskot grzmotu: Jeszcze Polska nie zginęła!

* * *

Broń powoli diabli brali.

Ostatnią kawaleryjską lancę stracili niedawno — w miejsce niej przyszła kosa.

Pamiętali ten dzień zabawny...

Akuratnie słońce jesienne zachodziło taką purpurą, że drzewa i twarze jak w ogniu stały.

Oni docinali resztki oddziału moskiewskiego— cicho, okrutnie, bezpardonowo, po długiej, zwycięskiej strzelaninie.

W tym cudnym, różowym, prawie że sztucznym oświetleniu, zdawali się bawić tylko, jak dzieci, w wojenkę. Nikt nie krzyczał, nie jęczał, nie rzęził. Dali sobie jakby słowo — Polacy i Moskale— że bić i umierać będą w najgłębszej ciszy, aby nie psuć słonku złotemu, i lasom w ogniu stojącym, i temu chłopkowi — co hen! zamarł z przerażenia nad pługiem — aby im nie psuć zbliżającego się wieczornego spoczynku.

Naraz głos jakiś nieludzki zawrzasnął po rosyjsku:

— Zmiłuj się!! nie zabijaj!! moja matka była Polka!!

— To i cóż, bracie, kiedy ojciec diabeł!? — rozległ się spokojny, flegmatyczny głos Bojanka, braciszka kapucyńskiego i — ostatnia ich kawaleryjska lanca przygwoździła sołdata do szczyrki piaskowej, czyniąc wielką, rumianą pieczęć na jego burym szynelu.

Pękło drzewce tuż przy nasadzie, a choć mocował się z żeleźcem Bojanek, nie zdołał już wyciągnąć grotu ze stygnącej piersi, więc ukląkł nad sołdatem i wybuchnął płaczem, jakgdyby mu umierał brat lub ojciec najrodzeńszy.

Tak sczezła ostatnia ich kawaleryjska lanca, chluba oddziału. Bojanek dostał kosę.

— O Jezu!! — wołał — co ja z tym chamskim drągiem pocznę!? gdyby choć gwer...

Wówczas wsiadł na niego Zięba, stary kosynier:

— A ty, kundlu, myślisz, że kosa to lada co!? Pan pułkownik Landowski nie przezwał się „Kosa"? i czy ty widział zresztą kiedy w kościele, aby Śmierć miała w ręku co innego jak kosę?! Gdyby gwer był cosi więcej od kosy wart, to by był jej Pan Jezus gwer do ręki dał, a widział ty kiedy Śmierć w kościele z gwerem albo z lancą — ha!? Od Pana Boga chcesz być wybredniejszy, co!?

— Niech tam! — rzekł wreszcie Bojanek, któremu dictum trafiło do przekonania, i odtąd pilnie przekonywał Moskwę, że kosa to nie lada co.

* * *

Czekając na sygnał ostatecznego boju, stała ta wedeta, czujna, śledząc zsiatczone gąszcza i szarość rokicin i wikli.

Co pewien czas podchodzili pod jakąś kolumnę moskiewską, sunącą w bór ostrożnie, i rwali z jej boków żywe mięso, napełniając wrogie szeregi pewnością, że niemałe jeszcze oddziałki polskie kryją się w lasach, na nich czatując, mimo że Jego Ekscelencja hr. Berg dawno ogłosił kampanię za ukończoną i polski bunt za zgnieciony na całym wrażym obszarze.

Kule moskiewskie zdawały się przyśpieszać jesień — bo nieraz zgórował podły ogień tyralierski i, trzepnąwszy po koronach drzew, przedwcześnie osypywał liście.

A każdego tego liścia żałowali oni, gdyż jedyna to była osłona ich kryjówki.

Zapądzali się czasem borami aż na Litwę — aż pod bok samego Wieszatiela, wycinając oddziałki kozacze — wieszając zdrajców — potem wracali do swojej kryjówki, jeszcze

bardziej zmęczeni, czując, że ze wszystkich stron zaczynają ich osaczać.

W okolicy Sarnak, w klinie tworzonym przez Bug i Sarnę, mieli jar, im jednym wiadomy, idący chytrze popod dziurawy, stuletni pień dębu, w którym trzymali prochów i ładunków resztę, czasem zdobytą broń, czasem chleb i kartofle.

Gdy cicho było dookół, gdy żadne echo nawet nie niosło szczęku obcej broni — znanego im wrogiego łomotu — gdy śmiertelnie zmordowani wracali z wyprawy — rozsiadali się w głębi jaru i rozpalali możliwie bezdymny ogień. I wówczas gawędzili, sprzeczali się, marzyli, tęsknili — dziwny zespół ludzi, będących właściwie, każdy, przedstawicielem innego obozu, a obecnie tworzących obóz jeden, zwarty, na śmierć i życie oddany sobie i jednej wspólnej tęsknocie.

Był ksiądz katolicki między nimi: Brzózka, wikary z Sokołowa, dawny słuchacz uniwersytetu petersburskiego — był kalwin Franciszek Wilczyński, kowal z Łukowa, radykał czerwony — był komunista, anarchista-mason Tournelle, nerwowy Francuz — był demagog antyklerykał Zubowicz, żołnierz garibaldczyk — był Zięba, stary nabożny kosynier z 31-go roku — był szlachcic Szczuka, spokojny, konserwatywny eks-dziedzic — byli dwaj braciszkowie kapucyńscy, uciekinierzy z lędzkiego klasztoru: jeden kleryk-profos, bijący się jak w śnie, nigdy modlitwy nie przerywając, bo „ukazała mu się cudowna Matka Boska Chodelska i do wojny iść kazała, mówiąc: „choćby cię, kpie, za włosy trzymali w klasztorze, idź do lasu — jeno się módl bez ustanku"; drugi: Bojanek, flegmatyczny Podlasiak, wykonawca wyroków partii, ciekawy w swojej religijności przy niezmiernym okrucieństwie — jeden Żyd, jeden Mazur — no i garstka podlaskich chłopów, milcząca, zaciekła, rzucona jak wiatrem niesiony żar, na ten cichy dotąd, zastygły w kontemplacji kraj.

Każdy z nich miał jedno odmienne ukochanie w duszy,

a wszystkie te ukochania razem stopione były w jedno uczucie wszechpotężne, śmiertelne w swojej bezwzględności: miłość Ojczyzny.

Kleryk-profos widział tę Ojczyznę jako jedną olbrzymią kaplicę, w śliczne papierowe, albo zgoła jedwabne kwiaty przybraną, rozświetloną milionem świec, wśród gorzenia których patrzyłyby obrazy święte, tak jaskrawe, że aż oczy mrużono by z bólu i zachwytu — posągi Matki Najświętszej, ubrane w cudowne, gwiaździste płaszcze — chorągwie zielone, niebieskie, malinowe — i okna z kolorowych szybek, jak w janowskiej katedrze — o Boże!! i organy takie przeogromne, żeby je słychać było od Warszawy do Petersburga — i sto tysięcy piersi, śpiewających dzień i noc: Serdeczna Matko...

Zubowicz i Zięba jako armię Ją sobie marzyli, stateczną, niezrównaną, wspaniałą — jako arsenał, gdzie by lśniły szeregi armat najwyższego wagomiaru, jak szeregi słońc — i proporce nad nią bujne — i smukłe lance ułańskie... igły, którymi się całość narodów szyje. — Szczuka chciał Ją widzieć może, jako zasobny, szlachecki dwór, gdzie panowie bracia spokojny żywot by wiedli, wolny od podatków, od buntów chłopskich, od humorów stójkowego — słuckie pasy zbóż i chabrów, rzucone poprzez ugory i łąki — może stadninka piękna, o łbach łoszęcych, a zadach jak mur. — Bojanek Ją marzył sobie — kto wie czy nie jako groźne, inkwizycyjne motowidło, na którym łamano by kości każdego, który Pana Boga na niebie, a Polski i Ojca św. na ziemi nie chwali. — Każdy Ją sobie inakszą śnił, tę Ojczyznę...

Więc gdy chwile mijały wspólnych wysiłków krwawych, gdy opuszczali ręce, wytężone w zgodnej rąbaninie wroga — kłócili się przy bezdymnym ognisku — głucho — tając tęsknotę, zmęczenie, rozpacz.

Szczuka wyciągał się pierwszy na ziemię i klął na twardość pościeli.

— Ciągle wam jeszcze zła, panie szlachcic, pierzyna z jodeł? — zaczepiał Zubowicz.

— At! stul pysk! — odpowiadał Szczuka obojętnie, ściągając z pokaleczonych nóg potargane, rozmokłe obuwie.

— A i lakierki też byłyby milsze — ha? jaśniewielmożnym nóżkom . . .

— Stul pysk! — powtarzał Szczuka tym samym tonem i na wywatowaniu z igliwia wyciągał się jak długi.

Ptaki ćwierkały coraz ciszej — gasły one szpary błękitne między drzewami u góry. Kleryk-profos mamrotał pacierze, klęcząc i czyszcząc dubeltówkę, którą przy tym trzymał, jak trzymają lilie święci młodziankowie z kościelnych witraży. Bojanek wygrzebywał skwapliwie kartofle z popieliska, a tamci milczeli, zapatrzeni w głąb lasu, w niebo lub w końce własnych butów, które zaiste odmawiały posłuszeństwa i które o ile nic a nic nie straciły na ciężarze gatunkowym, o tyle straciły na formie. Wilczyński zresztą był już zupełnie bosy: jeden jego but ugrzązł dawno i został nad Bugiem, drugi upodobał sobie sławne, litewskie błota.

— Ano, — mówił, — gdybym miał syna, nie mógłbym mu nawet pary butów zapisać...

— Więcej się ciesz, panie Wilczyński, tym, że nie masz syna, jak się martw tym, że nie masz butów — odpowiadał Szczuka. — Syn, to albo troska, albo wyrzut wieczysty...

Ot miałem go — chłop jak mur, włosy jak len, oczy jak niebo. — Chciałem, aby miał chleb w ręku pewny i stanowisko — Boże przebacz! do szkół rosyjskich go dałem, do Petersburga.

Przyjechał do mnie na ferie przed dwoma laty. U nas rwało się już wszystko do boju — w domach szyto sztandary i robiono ładunki, w kuźniach ostrzono kosy; ze starych świerzeni wyciągano broń...

Ozwało się coś we mnie — targnęło jak obcęgami —

i badam go ostrożnie, delikatnie, co on mówi na to gotujące się powstanie.

— K a k ?! — spytał i swoje błękitne, mądre, zimne oczy wlepił we mnie z takim pogardliwym zdziwieniem, że — no — poszedłem ja, zaraz w nocy, zapłakać krwią nad straconym dzieckiem. I dotąd do domu nie powróciłem... Panie Wilczyński! dalibóg lepszy brak butów, jak dziecko... jak syn...

Drzemiący Tournelle podniósł zawadiacki, rasowy łeb:

— Będziesz szanował, panie ojcze, i czcił syna swego, abyś mu odpłacił krzywdę wyrządzoną. Takie jest Czwarte Przykazanie, nie inne.

I jakby targnięty za rękaw, usiadł nagle, tym zwinnym, niespodzianym ruchem, czyniącym go do żbika podobnym i do małpy:

— Jeśli my, dzieci, leżymy w trumnie urządzeń społecznych, to zawsze wy, rodzice, jesteście gwoździem w tej trumnie — deklarował dawno widocznie ułożone aforyzmy.

— Każdy życie płodzący jest katem.

— Bój się Boga, człowieku! a powaga siwego włosa? a wielkie dziedzictwo, które bierzemy po ojcach? — spytał nieśmiało Zięba.

— Dziedzictwo?! — burknął Francuz raczej do siebie samego. — Tylko te małe dziedzictwa przechodzą z ojca na syna: syfilis, zez, karciarstwo, pospolitość, ciasnota mózgu — ale wielkie dziedzictwa, te zataczają kręgi olbrzymie — obierają linie krzywe i fantastyczne i właśnie wobec tych krzywizn w łeb musi brać zmora Czwartego Przykazania.

Grek, handlujący dziś fajkami po naszych jarmarkach, jest chyba antytezą tego pojęcia, jakie my mamy o starej Grecji — nie? A nagle, wśród zgoła niespodzianych warunków, spotykamy ducha helleńskiego.

Szczuka zmarszczył brwi.

— Myślisz, panie Tournelle, że nic się mieć nie powinno szacunku dla doświadczenia, dla ilości wspomnień, dla bogactwa rzeczy widzianych, przeżytych, przebolałych, przez nich, przez tych starców o włosach siwych?!

— Myślę tak istotnie, panie de Szczuka. Skąd pewność, że nie godniejsze szacunku to, co my dopiero zobaczymy, co my przeżyjemy, przebolejemy, doświadczymy? a co bezsprzecznie będzie lepsze i doskonalsze, jako że wszystko idzie ku lepszemu?! Drzewa te ot stuletnie zresztą widziały i zapamiętały chyba więcej, niż przeciętny ojciec rodziny, a dlaczegóż wcale dla ich apoteozy nie produkujemy przykazań i przepisów?

— Przeskocz ojca, młody człowieku, przeskocz dziada i spójrz w głąb Historii swojego czy mojego kraju. Nie widzisz nic w ojcach swoich, czy moich, co by ci wskaźnikiem było na przyszłość?

— Obywatel! to już nie oni nas uczą wtedy!!! nie ojcowie moi lub twoi, ale Historia: rewaloryzacja walorów. Nie mówimy zaś o Historii obecnie. O ojcu mówimy, który się czcić każe i przekonania swoje i swoje zasady. Schodzi się taki pan z rodziną tylko w czasie obiadu lub wieczerzy, zajęty cały dzień folwarkiem, warsztatem, biurem lub metresami. Wspólne obiadowanie jest jedynym punktem zbornym, jedynym momentem patriarchalnego zejścia się z rodziną — i — nie wstyd ci, siewco Czwartych Przykazań, że dzieci twoje widzą cię tylko w chwili, gdy napychasz gardziel i brzuch?!... Patriarchalność zwyczajów, powiadasz? niemożebność stykania się w innych, zajętych pracą porach dnia? Pewnie, pewnie. Długo jeszcze winno być narodową naszą chlubą, że flaczki i zrazy z kaszą są naszą narodową potrawą...

— Chlubą jak chlubą, — zaśmiał się Zubowicz, — ale zjadłbyś z radością porcję zrazów...

— Ech! nie przerywaj, panie Zubowicz. My, komuniści-republikanie, za mało walczyliśmy z nimi...

— Z kim niby?

— Z tymi, od których władza poszła, poszło tyrańswo, poszła niewola wszelaka. Skąd sceptr pochodzi królewski, jeżeli nie od kija? a skąd kij, jeżeli nie od waszych podpór, ojcowie, gdy nogi wam odmawiały posłuszeństwa, a rządzić chcieliście szczepem, w imię waszej starości, waszego właśnie niedołęstwa? Wszystko poszło od tego kija, na którym spieraliście niedołężne cielsko wasze, nosząc godność patriarchy rodu najpierw, później szczepu, później państwa — w miarę tego, jak się ród stawał szczepem, a szczep państwem. W potrzebie, w obronie własnej lub kraju, zmienialiście symbol władzy na miecz, na włócznię — w żądzy zaś pełniejszej władzy i na pastorał... Wszystko jest kijem Ojców! i miecz jest kijem, i włócznia kijem, i pastorał kijem, i sceptr tyranów. „Całą filozoficzną historię ludzkości zmieścić by można w zdefiniowaniu kija"... opowiada słusznie nasza uniwersalna encyklopedia francuska.

— I któż by przypuścił, że właśnie ty, panie rewolucjonisto, kij taki obnosisz po Europie...

— Właśnie, właśnie, panie de Szczuka. Nasz Arnault mnie uczył, który rzekł: „chcesz bydłem jakim rządzić? uzbrój się w kawałek drwa, mniej długiego niż tyka, mniej cienkiego niż pręt, mniej grubego niż polano — no i będziesz pasterzem, królem, generałem, tamburmażorem — zależy od gatunku bydła, któremu masz przewodzić, zależy od tego, czy masz iść na czele wojsk, czy na tyłach trzody"...

— Jaka szkoda, panie Tournelle, że ci się na nic nie zdała ta rada, bo o ile się nie mylę, ani na czele wojsk nie idziesz, ani na tyłach trzody.

Tournelle nie słuchał.

— Za to łamiąc o kolana sceptry królewskie i biskupie pa-

storały, łamiemy filary Czwartych Przykazań, ostatnie zapory jednostkowej wolności.

Królom naszym wypchaliśmy brzuchy najrzadszymi ziołami i złożyliśmy ich w kryptach (cóż można było więcej uczynić ich najjaśniejszym brzuchom?!) i walczymy dziś o wolność narodów, o wolność jednostki.

Na chwilę ucichli — a wówczas słychać było głos chłopa Mazura, którego kleryk egzaminował z katechizmu:

— Dziesięć przykazań? no...

— Pierwsze nie bendziesz mioł, drugie nie bendziesz broł, trzecie czwarte przdsięwzięci, piąte śmierć, szóste zadosyćucynienie.

— Bój się Boga, człowieku! — rozpaczał kleryk — a siedem grzechów głównych?

— Pijaństwo, obżarstwo i małżeństwo świente, amen! — popisywał się niewzruszenie Mazur.

— Cóż ciebie tedy przygnało między nas, panie Tournelle? — wrócił do tematu przeżuwający swoje zgorszenie Zięba.

— Sentyment, obywatelu, tak jak was pognało do legii napoleońskich. A poza tym, tak, to nie do uwierzenia: ja, Francuz, o wolność Jednostki walczę, o sto mil od mojej ojczyzny, w borach podlaskich — o których nikt jako żywo nie słyszał w mojej ojczyźnie, i buty zdzieram modne, w samym Paryżu robione.

. Żaden z was tyle na kartę nie położył co ja, bo żaden nie miał butów w Paryżu robionych...

Szczuka milczał. Może zasnął? może waliły w niego jak kowalskim młotem gromkie słowa młodego anarchisty?

Ciężka melancholia spadała znów na nich, tylko Bojanek przypatrywał się z uwagą butom Francuza, medytując, czy możliwe, aby ta dziurawa podeszwa, przymocowana strzępami cholew do nogi, widziała kiedykolwiek Paryż, miasto ponoś najwyższej elegancji...?!

I myśl ta wydała mu się widocznie zabawną, bo wybuchnął raptem śmiechem.

— Czego się śmiejesz, frater, kiedy widzisz, że z katechizmu egzaminuję? — oburzył się kleryk.

— ...i że to raczej zdychanie w głowie człowiekowi niż śmiech... — mruknął blady, postrzelony w ramię Żyd, Symcha.

Na suchym, w cień zasuniętym listowiu poruszyło się coś.

— Kto mówi o śmierci?! — rzucił nagle głos młody, mocny, niespokojny, gorący jak rozpalona miedź. — Kto mówił o śmierci?!

Ksiądz-dowódca pytał.

Stał teraz przy ogniu, w egzaltacji i niepokoju. Nozdrza jego latały jak u spłoszonego konia, a bolesne oczy szukały po twarzach, pytające, fanatyczne, krzyczące trwogą.

On się niczego nie bał, wśród tej wiernej garstki, tylko zniechęcenia ich do życia i tęsknoty za śmiercią.

Wiedział, że ta garstka jest śmiesznym humbugiem, jako problem dla strategika — 14 ludzi przeciw półmilionowej armii!! — ale w tym, czego on od nich chciał, byli potęgą większą, niźli półmilionowa armia.

Mieli tylko, walcząc z zasadzki, trwać. Nic, tylko trwać. Jak latarnia morska na szczycie niebezpiecznego złomu skalnego mieli rzucać blask żyjącego czynu i płonąć dopóty, dopóki nie zbliżą się ci wszyscy, co brzegi mają zdobywać.

Do tej chwili ani zagasnąć ich płomieniskowi, ani im zejść nie było wolno.

Nie o męczeńską śmierć, w tych czasach najłatwiejszą, chodziło, ale o nierównie męczeńskie trwanie, w głodzie, bólu i zamieci zdarzeń.

Trzydziestotysięczna niedawno armia polska, obezwładniona chwilowo, przyszła do nich, złożyła w ich ręce broń z pochwy wydobytą, i rzekła: ,,Czekajcie. Niech nie rdze-

wieje ani broń, ani imię gotowego do boju Polaka" — więc musieli czekać.

Nie bał się ksiądz Brzózka odstępstwa ze strony swojej garstki, ale się bał — że w ustawicznych podchodach, niebezpieczeństwach i nędzy — zwłaszcza wobec mającej nastać drugiej zimy — aby nie zatęsknili do śmierci-wybawicielki.

On wiedział sam najlepiej, jak dręczącą, odurzającą, przemożną, staje się chwilami tęsknota do wiecznego spoczynku.

Słuchał więc milcząco, gdy dysputowali, kłócili się, dogryzali, ale gdy padło choćby przelotnie słowo: Śmierć — zrywał się natychmiast i stawał przed nimi najeżony, dyszący, jakby ostatnim tchem zasłaniał ten ostatni szaniec ojczysty.

— Żołnierze polscy! czy nie przysięgaliście wytrwać do końca?! — pytał, a głos jego rozpryskiwał się o pnie, uniesiony, niezłomny, głęboki, jak ton trąconego kryształu.

— Przysięgaliśmy, że będziemy gotowi zawsze walczyć i zginąć dla Ojczyzny — odpowiedział jękiem ranny Żyd, któremu gniło przestrzelone ramię niezaopatrzone; — aleśmy nie przysięgali uciekać od śmierci, gdy nas zewsząd będzie wołała.

— Cicho... cicho... — rzekł słodziej ksiądz. — Powtórzymy przysięgę. Przysięgniesz, drogi, i ty i my wszyscy, że będziemy pragnęli walki i pracy dla Ojczyzny — ale że nie będziemy nigdy pragnęli śmierci, jako wyzwolenia od tej walki, od tej pracy.

Widzicie, drodzy, kolebkę Ojczyzny w ręku niesiemy. Gdybyśmy padli przedwcześnie, kolebka ta stanie się trumną. Grandgardą jesteśmy Ojczyzny...

Chodź, drogi, przysięgniemy dziś, że nie będziemy pragnęli śmierci.

Wyciągnął pałasz nad ogniem, jakby zakląć chciał płomień w żywioł wieczyście trwający.

Pierwszy Wilczyński zbliżył się, kładąc dwa palce na klin-

dze błyszczącej i powtarzając poważnie i głucho dziwną rotę Brzózkowej przysięgi:

— ...a że nie będę tęsknił za śmiercią, ani w chwili głodu, ani w chwili męki, tylko że do walki i do trwania tęsknić będę, tak przysięgam na ciebie, szablo polskiego żołnierza!

Potem zbliżył się Symcha i jasno, dobitnie powtórzył te słowa, i wszyscy po kolei, aż do Zięby, który zakończył od siebie: „t a k m i d o p o m ó ż B ó g“ i do kleryka, który, całując ziemię, dorzucił sennie: „i N a j ś w i ę t s z a P a n n a!“

Wszędzie, odkąd świat światem, wymagano od żołnierzy przyrzeczenia, że się śmierci bać nie będą — jeden tylko Brzózka zaprzysięgał swoich, że nie będą się rwali do śmierci, że nie będą płakali nad trwałością życia.

Bo w nim samym grała już śmiertelna tęsknota na harfie wielostrunnej.

II

BISKUP PODLASKI

Parę wstępnych maksym do rozdziału II

— ...*pewną jest dla mnie rzeczą, że pozytywne prawo moralne, t. j. prawo objawione ludziom przez Boga, nie zostawia bynajmniej człowiekowi sądu o tym, czy władza państwa jest prawą czy nieprawą, czy zgodną jest z wolą bożą lub nie. Każda istniejąca władza państwa, mająca siłę do utrzymania się i do nakazania sobie szacunku, jest władzą zgodną z wolą bożą, dopóki istnieje.*

(Hr. Jerzy Moszyński: Po 40 latach. Str. 20).

— *Nie widzę na to wskazówek w objawionym prawie bożym, by niepodległość polityczna narodu miała najlepiej protegować dochodzenie jednostek do zbawienia duszy, skoro wszystkie słowa Chrystusa, określające stosunek poddanych i ujarzmionych narodów do swojego władcy, jak również wszystkie zalecenia apostołów, dawane wiernym — nakazują i doradzają bezwzględną uległość rozkazom rządu...*

(Tamże, str. 27).

— ...*moim zdaniem, naród nasz nie posiada warunków do niepodległego bytu politycznego...*

...Jeżeli więc ideałem naszym miałoby być idiotyczne dążenie do politycznej niepodległości, to ideałem państw zaborczych, a szczególniej Rosji i Prus, musi być koniecznie tępienie nas.

...Ten to fałszywy nasz, z religijną czcią pielęgnowany ideał jest głównym powodem narodowej naszej niemocy — on bowiem oddala nas od jedynej racji naszego bytu narodowego w dziejach ludzkości, a mianowicie od niesienia na wschód (państwu rosyjskiemu!!) prawdy katolickiej...

(Tamże).

— *...Chcąc chłopa zrobić patriotą, zrujnowaliście Galicję społecznie prawie od samego gruntu. Zniszczyliście prawie wszystkie podwaliny bytu wiejskiego ludu i wszystkie węzły łączące go z dworem.*

(List otwarty hr. Jerzego Moszyńskiego do dr. Henryka Jordana).

— *Niestety! przerachował się Margrabia i w tej rachubie. Straszna rzeczywistość przekonała go, że w ówczesnej Polsce nie było ani konserwatystów, ani rewolucjonistów — że miał on do czynienia tylko z kupą nieuleczalnych idiotów i z kupą bezmyślnych, zbrodniczych szaleńców, którzy dotąd nie przestaną gryźć i szarpać własnych trzewi, dokąd nie zbrzydnie wreszcie ten widok zarówno Bismarckowi i Mazziniemu, jak Rechbergowi.*

(Hr. Jerzy Moszyński: ,,Aleksander Wielopolski w świetle masońsko-liberalnej prawdy historycznej").

— *...I wy, bracia kapłani, z powołania sól ziemi, światło świata, wy przyrodzeni nauczyciele świeckich — oddajecie się pod ślepe posłuszeństwo komu? (Komitetowi Centralnemu Narodowemu) świeckim, powszechnie młodym,*

w liczbie których są pewnie i niekatolicy i niechrześcijanie, a zawsze związanym piekielnymi przysięgami z wyższymi władzami, których ostatecznym celem zagłada Kościoła i Chrześcijaństwa? I wy, kapłani, to czynicie? Dla wywalczenia wolności sobie i ojczyźnie zaczynacie od zaprzedania dusz waszych władzy pokątnej, przed nikim nieodpowiedzialnej? Bracia! ludzie ci są nieznani, ale znane ich czyny dawniejsze i stałe zasady... Czy nie wywołali oni rzezi galicyjskiej, po której dotąd ta część dawnej Polski do siebie przyjść nie może? Czy w r. 1848 nie poświęcili młodzieży, zasobów narodowych i samego dobrego imienia polskiego, dla czynienia nędznych burd?... Czy nie gotowi i teraz poświęcić narodu?...

(Ksiądz Kajsiewicz: Pisane w Rzymie w oktawę Trzech Króli r. p. 1863).

— A ostrożnie tam!

— Równo, psiajuchy!

Głosy poszeptywały stłumione, a nogi kładły się ostrożnie na rozmiękłej rudawicy.

Noc otulała ich nieprzebyta, bez gwiazd. Wicher targał strzępami ich ubrań, jakby się natrząsał z ich ostrożności — lub przeciwnie, jakby chciał pomóc im i zagłuszyć ich kroki przed niewidzialnym wrogiem.

Deszcz chlipał drobnym, nieutulonym płaczem — łagodny w zasadzie, ale porywał go wiatr, zanim dotknął ziemi, i miotał nim, jak miliardami cienkich pejczy, jak miliardami kłujących igieł.

Zimno było aż do skostnienia.

Zdawało się, że dech ludzki przemienia się w sopel lodu, tymczasem wszystko dookoła było rozmiękłe, wody pełne i grząskie.

Każdy ich krok znaczył się jaśniejszą plamą na czarnym

bagnie: to woda występowała i zalewała obwód uczynionego kroku.

Na sześciu kosach, formujących szachownicę, zaścielonych płaszczem i mokrym listowiem, nieśli rannego. Twarz jego była nakryta i ręce, natomiast nogi sterczały prawie bose spod za krótkiego płaszcza.

Nie czynił najmniejszego ruchu. Może zmarł w drodze i tylko miłe jego szczątki nieśli koledzy? Zdawało się w każdym razie, że niosą go bez celu — ot tak, aby się przeszedł raz jeszcze po miejscach chwały swojej czy męki — bo niepodobne było, aby się ktokolwiek mógł wyznać w tej dzikiej, nocnej szarudze — i w tych zygzakach, którymi kluczyli.

A jednak na przedzie szli Bojanek i kleryk-profos i wiedli pochód, węchem czy instynktem? nie wiadomo.

Od czasu do czasu obracali się i patrzyli, czy tamci postępują za nimi, i wówczas kleryk cicho i tępo powtarzał:

— ...polecamy cię, duszo świat ten żegnająca, Panu Bogu Wszechmogącemu, w ręce Stwórcy twojego, żebyś, wypłaciwszy dług śmiertelności, wróciła zbawiona do Pana swego.

— A zamknijże raz gębę, wrono kracząca! — złościł się Zubowicz. — Dalekoż to jeszcze?

— Tuj! — odpowiadał Bojanek. — Jeszcze ino ten lasek i już klasztor.

— ...niech Aniołów zastępy wyjdą naprzeciw tobie! — mruczał dalej kleryk. — Niech święta Rada Apostołów przyjmie cię łaskawie! Niech świętych Panien Niebieskich Chór Cię powita...

— Dam ja ci, draniu, panny niebieskie!! — wpadał mu w słowa Zubowicz — i znowu szli cicho, tak cicho, że tylko słychać było, jak się wicher o płaszcze ich owija i jak skomli woda pod ich każdorazowym stąpaniem.

Nagle Bojanek zatrzymał się.

— Ot on! — rzekł do pewnego stopnia uroczyście, wyciągając rękę przed siebie.

I istotnie wyrosły niespodzianie poplątane wieże, jeszcze czarniejsze, niż czarne niebo: pięć palców, podniesionych w górę, ostrych jak szpony, i pięść olbrzymia po środku, blachą miedzianą opancerzona.

Ta blacha fosforyzowała, mimo nieprzeniknionych ciemności, jakby ze siebie wypromieniowywała tajemnicę ukrytego skarbu.

I raptem z tych dwóch apokaliptycznych dłoni, na niebie się rysujących, buchły organy pieśnią ogromną.

— Co to jest? — spytał umęczony głos na noszach.

— Wodzu nasz kochany, to klasztor lędzki! — odpowiedział Wilczyński.

— ...to Ojcowie odprawują nabożeństwo chórowe, nocne... — dodał jakimś radosnym tonem kleryk.

— Wszyscyście przy mnie, drodzy? — spytał powtórnie leżący.

— Ośmiu nas z tobą.

— A reszta? — jęknął.

— Zostali... pod Golinem.

— ...zos...ta...li... — powtórzył ranny.

Szli teraz szybciej, goniąc ostatnim tchem.

Wieże zbliżały się, przeganiały, okręcały dookoła własnej osi, a od dołu zatracał się coraz bardziej ich strzelisty rysunek, bo z ciemnej otchłani podnosił się mur i biegł w górę optycznym złudzeniem.

Zadzwonili do bramy.

Gdzieś daleko warknął zardzewiały dzwonek i po chwili przerażony szept zapytał zza bramy:

— Kto tam?

— Rannego niesiem.

— Jakiego rannego? co za rannego?

— Powstaniec. Bagnetem go zawczora pchnęli.

— W imię Ojca i Syna! Jaki powstaniec, kiedy żadnego

powstania już nie ma?! Idźcież, ludzie, skądeście przyszli. Tu nie szpital. Nam nie wolno po dziewiątej furty otwierać.

— Ciężko rannego niesiem! — powtórzył dobitnie Wilczyński.

— Powstańcy jesteście? polscy?

— Pewnie, że nie nowofundlandzcy...

— Matko Najświętsza! chcecie na klasztor nieszczęście sprowadzić?! Idźcież sobie...

— Puść, panie gwardian, pókim dobry! — ozwał się Tournelle, — bo jeżeli nie, to wysadzimy prochem twoją furtę, a że są Moskale niedaleko, więc nadejdą wnet na hałas, a my się wówczas bronić będziemy z tej twojej budy. A załóż się o co chcesz, że wtedy na szczęt ci ją zmarnujemy.

— Ilu was jest? — z rosnącym przestrachem indagował gwardian.

— Dwa miliony dwakroć sto tysięcy kawalerii. Trzy miliony pięćkroć sto tysięcy piechoty, jak jeden mąż. Ale wejść nas chce tylko dziewięciu.

— Pójdziecie sobie, gdy opatrzym rannego?

— Pójdziemy, archaniele, tylko nas puść. Aż na Dardanele pójdziemy, jeśli ci to przyjemność sprawi...

— Aż... gdzie?

— Otwieraj, smoku piekielny! gorylu peruwiański!

Brama otworzyła się dziwnie bezszelestnie, a w progu stanął, jak widmo jasełkowe: mnich z latarnią.

Ujrzawszy dwóch braciszków na przedzie, żachnął się:

— To wy?! Wracacie, heretyki!? Myślicie, że dla was znajdzie się tu jeszcze miejsce, w tych świętych murach, któreście opuścili dla ludzkich spraw?! — i grożąc kluczami, biegł dzwonić w alarmowy dzwon, ale swoją drogą uspokoił się nieco, ujrzawszy te dwie znajome twarze.

Powoli schodziło się coraz więcej kapucynów, w nieładzie i zaniepokojeniu. Bezradni byli wobec dokonanego faktu, zresztą bardziej przerażeni niż gniewni.

Najstarszy trząsł głową i srożył się, wreszcie wskazał drzwi i rzekł:

— Do pokoju ojca Hiacentego go dajcie, ale jutro pójdziecie precz! Nie możecie zakłócać spokoju domu bożego i jego sług, zwłaszcza, że bawi obecnie tutaj prowincjał nasz dawny, ksiądz biskup podlaski, którego wasze dzieła wygnały z janowskiej biskupiej siedziby.

* * *

Szli i szli, przez kurytarze, sale i znowu kurytarze.

Wszędzie widniały herby Łukowskich, hr. Gutakowskich i Radwany Paskiewicza, wszędzie załamywały się światła w ich labrach i w nieprawdopodobnie misternych rzeźbach pułapu i odrzwi.

Starożytne gobeliny pokrywały ściany, a kryształy pająków, zwisające od sufitu, dygotały na złotych łańcuchach.

— Phi! — dziwił się Francuz. — A dużo was tu jest, kapucynów?

Mnich nieufnie spojrzał na oberwańca, ale dubeltówka, trzymana przez niego w ręku, usposobiła go łaskawiej.

— Piętnastu nas tu jest.

— Szkołę macie, czy nieuleczalnych?

— Nie. Skądże? Kapucyni, to zakon kontemplacyjny. Z jałmużny żyjemy i dla modlitwy.

— Jak to?! I ten cały gmach zajmuje piętnastu ludzi?! Na każdego przypada po jakich dziesięć pokoi — nie?

— Nie rachowałem — odburknął mnich niechętnie.

— A że to wolno zakonowi żebraczemu takie wspaniałości mieć? — dziwił się ciągle Francuz.

— Reguła zabrania nam, braciom mniejszym, przystrajać nasze świątynie i nawet mszy słuchać śpiewanej z muzyką — ale my za administratorów się mamy tego pocysterskiego klasz-

toru — z łaski Jego Ekscelencji księcia Paskiewicza, dobrodzieja naszego.

— Z łaski czyjej?! — aż się zatchnął Zubowicz.

— Świętej pamięci Namiestnika Królestwa. Przyjacielem był dzisiejszego księdza biskupa podlaskiego, a ten był dawniej naszym prowincjałem i komisarzem...

— Tfu! — splunął Zubowicz.

Weszli wkońcu do obszernej, niskiej komnaty, marmurem chęcińskim wykładanej.

Z noszów zdjęli rannego i położyli go ostrożnie na łóżko, po czym Wilczyński delikatnie zrzucił zasłonę, dotąd na twarzy chorego leżącą.

Blada była ta twarz, ze smugą cieniów śmiertelnych dookoła nosa i ócz.

Na piersi, po przez brudną szmatę, występowała krew i ciekła wąską, równą strugą aż na brzuch. W ręku trzymał ranny pałasz, cały krwią oblepiony — niewiadomo czy własną, czy nieprzyjacielską? bo klinga akuratnie dotykała owej strugi, płynącej od piersi.

Może się pomieszały obie krwi?

Wilczyński miłośnie odgiął zaciśnięte palce chorego i wyjął z nich pałasz, a potem wolno jął rozwijać brudne bandaże.

Towarzysze tymczasem rozsiedli się na podłodze i na zydlach, w winne grona rzeźbionych, a raczej padli na nie i momentalnie zasnęli gwałtownym, twardym snem.

Wszedł kapucyn, niosący ciepłą wodę. W progu spojrzał ze zdumieniem na tych siedmiu, leżących pokotem w śnie najgłębszym, przeskoczył ich nieruchome ciała i zbliżył się do łóżka.

Długo bluzgała woda na pierś leżącego — długo i niezdarnie nawijał czyste bandaże kapucyn — wreszcie odszedł.

Wilczyński siadł u nóg rannego, z widocznym postanowieniem czuwania. Chwilę patrzył w jego maskę śmiertelną —

zadrżały mu usta bólem — potem skleiły się powieki i zasnął i on.

Trzy doby nie zmrużyli oka, więc należał im się sen.

* * *

Organy huczały gdzieś w bezdni gmachu i rąbały powietrze, jakby stu parobków waliło cepami w melodyjne blachy. Wiatr zawodził za okratowanym oknem — powstańcy chrapali, sapali, świstali, tylko ranny leżał cicho.

Lampa rzucała mu światło wprost w oczy.

Na trupie policzki wpełzł rumieniec i obejmował powoli całą głowę straszną, bezkształtną, palącą obręczą. Pod jej ugniotem trzeszczało coś w czaszce — na pierś kładł się kadłub tego potwora, co ział ogniem na twarz i pazurami darł ciało, wżerał się w żebra i klatkę piersiową. A w te niezliczone, ropiące, świeże rany wpadały kropla po kropli: tony organów.

Była to w swoim rodzaju chińska „m ę c z a r n i a d z w o n u“...

Nie wiedzieć co darło bardziej rany? Pazury potwora czy też te wstrząsające, zwielokrocone ciszą i echem, szalone akordy?

W końcu zatraciło się pojęcie bólu. Może piersi umarły już częściowo? Może tak umiera zawsze ów, który każdą cząstką ciała czemuś służył — a więc każdą wyodrębnił, każdej dał własne, inne życie, własne, inne cele, a zatem i własny, inny koniec?

Tylko na głowę ciągle drapieżnie padały z pułapu miarowe odzewy organów, skandujące jakąś znajomą litanię.

Wreszcie i to ucichło.

Wiatr natomiast zwycięsko zawył piekielnym dyszkantem, lecz jego porykiwania nie atakowały ani piersi, ani głowy — tańcowały tylko i harcowały niewinnie dookoła, potrząsając

figlarnymi płachtami? gałęziami? buńczukami? czy błazeńskimi kaduceuszami?

Jak węże — te gałęzie — te buńczuki — te kaduceusze — splatają się, rozplatają, jak czarne warkocze kobiece, jak dłonie czasem, proszące, kościste i na węgiel spalone.

Ranny podniósł oczy i wodził nimi po suficie.

— Czytasz? — zdawał się pytać wiatr.

— Nie — odpowiedział ten ktoś, który miał być nim, na łóżku.

— To dobrze — U nas nikt już nie czyta, nawet pensjonarki. Pamiętasz pensjonat w Warszawie? Chodziłem tam za tobą — trzaskałem drzwiami...

— Po co było trzaskać?

— Dla hecy. Kaplica tam ładna była i pachnąca bursztynem — pamiętasz?

Och! jak ona bursztynem pachnie.

Lubię świece gasić w rozmodlone wieczory — na ołtarzach. Wtedy czyni się tak cicho. Panny trącają się łokciami, a ja śpiewam bezbożną pieśń — wzdłuż idąc od organów, potrząsając dymami, za łeb biorąc chorągwie — i myślę, że jednak łatwiej mi pogasić te świece — na ołtarzach — niż ludziom je zapalać...

Po co je palą właściwie, słuchaj?

— Może aby uczyć... kogoś...

— Stearyną?! — zaśmiał się wicher i wzbił się do pułapu, a potem zniżył po łańcuszku aż do lampy płonącej, kurz z niej strzepując, i jął się z nią mocować i gzić.

Nie zgasła jednak, jucha. Świecił ciągle wprost w oczy leżącego.

Te oczy szkliły się jak drogie kamienie, w brylantowej oprawie mokrych rzęs.

Wieczna lampa?... Aha. I ołtarz. A tam organy grały na chórze i ścichły, bo on ma teraz śpiewać.

Nie. Jeszcze nie. On idzie do kościoła — prymicja — chór

śpiewa (jak on śpiewa ten chór? Aha! Sacerdos Dei, benedicite domino...).

Ręce mu się trzęsą, plączą szczegóły liturgicznego rytuału mszalnego. Tysiąc par uczu patrzy w niego.

Co mówić? co mówić na prymicyjnym kazaniu?!

Powiedzieć, dlaczego on — słuchacz prawa — rzucił uniwersytet i do seminarium wstąpił?

Powiedzieć, że ukochał Lud ponad wszystko i nie znał doń pewniejszej drogi jak droga księżej kariery?

Powiedzieć, że tylko jedno miał istotne powołanie: wejść między lud i o Polsce mu mówić, śpiącej w trumnie serc polskiego chłopa?

Powiedzieć, że wszystkie drogi, do ludu prowadzące, były mu jednakie — czy tedy z torbą żebraczą, czy z maską pokątnego, wędrownego apostoła, czy wreszcie z tą sutanną, którą przywdział — wszystko jedno! Byle bliżej być ludu...

Ach nie! tego powiedzieć nie można. Trzeba kłamać.

— O Ludu polski, kochany, siermiężny!

Tak zaczął i urwał, bo dusiły mu gardło łzy i uniesienie i wstręt do kłamstwa, i urwał, bo stał w krzyżowym ogniu dwóch spojrzeń: patrzył weń proboszcz z amarantowego fotelu i patrzył w niego lud — podlaski, cichy, zadumany lud — z zadeptanej podłogi kościelnej.

Rwały mu się ręce do nich — hej! rwały...

Chciał rzec:

— Chodź Ty, polski Ludu, do ołtarza! chodź Ty sprawować Ofiarę — całopalenie serc Twoich gołębich, nieobudzonych, a ja klęknę i ukorzę się przed tobą. Ludu polski, siermiężny!

Chodź Ty na Twoją prymicyjną Ofiarę. Połóż Ty dłonie spracowane na głowach naszych i powiedz sakramentalne:

— Per impositionem manuum mearum, benedicat vos...

Pobłogosław mnie, Ludu polski siermiężny, abym wszedł czysty między chaty Twoje!

O dniu najsłodszy i najcięższy!

Tak. Organy grały, grały. Teraz ucichły. Sprawowało się wiele rzeczy dziwnych, jak gusła niepokojące. A Lud milczał.

Wiatr wyje? ano tak. Jesień. W dzień jesienny wypadła prymicja.

Jak ta lampa wieczna dziwnie płonie — jak strasznie zbliża się do oczu. Coraz bliżej i bliżej. Czy to z niej sączy się oliwa i płynie strugą po piersi, a płomieniem wierci powieki jak świdrem?

Co to jest? i jak to boli! Jaki niewiarogodny ból!

Co tak trzeszczy i huczy? aha! salwa trajkocze! Moździerze łukowskie, kościelne.

Nie! Jezusie Mario! To Moskale strzelają rotami!!!

Słońce nisko świeci w oczy, oślepiając, a oni walą a walą. Echo gra w lesie, jakby się ktoś przedrzeźniał. Oto leci Lelewel — słońce pali się w jego włosach — koń pod nim wariuje — W nich! w nich! — Jest tam dwa tysiące wyborowego, a ich czterystu... ale:

— Biegiem! marsz! — i na bagnety idą jak morze, jak płomień, naprzeciwko zaś kosynierzy, zrobiwszy front w lewo, walą ukosem na lewe skrzydło Moskali.

Panowie z Warszawy! panowie z Krakowa! panowie z Emigracji! coście przefacjendować chcieli Ojczyznę, jako że za słaba — gdybyście byli mogli widzieć z okien waszych pałaców (och! jak najdalej od kul), co za siła w polskim chłopie i co za męstwo, gdy raz plunie w garść i ruszy ławą!

Hej! jak roty walą!

To nie roty... zwariowałeś? Skąd?

To moździerze kościelne, łukowskie. Oto szum idącej procesji. Słodki Jezu! jakieby to można plutoniki sformować z tego bractwa...

Pochodnię niosą na przedzie — jak strasznie pali ta pochod-

nia! Czegóż on ją tak nachyla, sokołowski organista, na pierś kapiąc smołą płonącą?

Jaki ból, jaki niewiarogodny ból

Blady dzień nastał, a ranny majaczył ciągle o zwidach kościelnych i obozowych, ale nie mówił nic. Kryjakiem był, nawykłym dostatecznie do ostrożnej ciszy.

I tak minął dzień jeden, drugi i trzeci — a może ich więcej minęło?

* * *

Gdy go podniesiono na poduszki, wysoko, i dano jeść, a rana okazała się w zagojeniu, spojrzał po zebranych ,,chłopcach'' swoich i rzekł:

— Idziemy, drodzy?

— Idziemy. Trochę tylko jeszcze odpocznij i idziemy.

— Wrócimy na Podlasie — prawda? Tam nam żyć i tam kości położyć, gdy Ojczyzna ze służby zezwoli.

— Wrócimy zaraz, ino się podźwigniesz.

— ...wszystko niech znosi dla miłości twojej, Boże — modlił się niezmordowanie kleryk — a jeżeliby dla gwałtowności swych bólów nie mógł znieść ze świętą uległością...

— Że już ciebie znosi, młynku do kawy, to dość! — przerwał z pasją Zubowicz.

— Daj pokój, człowieku! — rzekł Zięba, czyszczący zawzięcie broń. — Może on naprawdę wymodlił tamtemu kochanemu życie?

— Jakim sposobem?! — rozgniewał się na dobre Zubowicz. — Taż on od drogi golińskiej aż tutaj jednym ciągiem odmawiał modlitwy za konających. Bawół amerykański by skonał po takiej porcji.

Ranny patrzył w okno, za którym widać było pyszny tors omszonego graba — ale że drzwi się właśnie z trzaskiem otworzyły, więc ku nim zwrócił oczy.

W progu stał biskup podlaski, Paweł-Piotr-Benjamin Szymański, olbrzym, nadnaturalnej wielkości, cały w wypustkach fioletowych, w lśniącej sutannie, bawiąc się krzyżem na piersiach, jak brelokiem. Zamknąwszy drzwi, niechętnie przeglądnął zebranych — zatrzymał się chwilę dłużej wzrokiem na dwóch braciszkach kapucyńskich, którzy runęli na kolana, i na Ziębie, który sprezentował broń.

— Skąd jesteście? — spytał twardym głosem.

— Z Podlasia my prawie wszyscy — odpowiedział uniżenie Szczuka.

— Z jakiej partii?

— Partia księdza Stanisława Brzózki.

— Aaa? księdza Brzózki? proszę! Gdzież on?

Nie odpowiedzieli, tylko wszyscy mimowoli spojrzeli na łóżko, a wtedy biskup Szymański zatrzymał swe zimne, pochmurne oczy na leżącym.

— Tyś Brzózka? Ten ksiądz-odstępca, który mimo moich rozkazów — rozkazów biskupa swojego — wojuje dalej, kryje się po lasach, znaczy ślady swoje krwią i pomstę rządu ściąga na najniewinniejszych?!

— Jestem Brzózka — odparł krótko ranny, patrząc znowu w okno.

— Czy ty nie wiesz, żeś popadł w irregularność? że mogę cię momentalnie zasuspendować, obłożyć cenzurą kościelną?

— Możesz, jako biskup rzymski, nie możesz jako polski obywatel.

Głos ten wyszedł dudniąc z przebitej piersi. Biskup zmarszczył swe groźne brwi, które pozostały czarne, przy białych jak śnieg włosach.

— Kościół katolicki jest powszechny: narodowości jako taki nie uznaje i o tym powinieneś wiedzieć, katolicki kapłanie.

— Arcybiskup Fijałkowski powiedział co innego w swoim testamencie...

— Nie był on twoim biskupem, tylko ja.

— ...powiedział, do episkopatu i do kleru się zwracając: „Proszę was, trzymajcie z narodem, wspólnie brońcie sprawy Ojczyzny i nie zapominajcie nigdy, żeście Polakami".

— Jeżeli chcesz dysputować, zuchwały człowieku, to uzbrój się w lepsze wiadomości i argumenta i jednego frazesu nie poczytuj za polityczne credo metropolity.

Za jego pasterskich rządów został wysłany ów pamiętny memoriał kleru polskiego do hr. Lamberta. Prawda? Otóż czy memoriał ten ujmował się za sprawami narodu politycznymi? Skądże? Prawy dygnitarz Kościoła nie zajmuje się polityką, gdy ta stanęła na ostrzu noża. Żądał metropolita i reszta episkopatu, aby przywrócono Kościołowi jego dawne prawa, aby zreformowano komisję wyznań, aby ograniczono prawa władzy świeckiej przy aresztowaniu duchownych, aby uwolniono wszystkich dotąd uwięzionych kapłanów, etc. A zważ, że wówczas kwestie narodowo-patriotyczne były w najwyższym napięciu i że wszystkie partie polskie patrzyły w zwierzchnictwo kościelne jak w zbawienie, jak w jedyną swoją świecką władzę.

Przecież biskupa Fijałkowskiego chowano z insygniami królewskimi, zaznaczając tym, że uważanym jest za prymasa w czasie chwilowego interregnum...

Czy wspomniał co biskup Fijałkowski o Narodzie w owym memoriale?!

A biskup Feliński, po którym robiliście szopkę żałoby narodowej, wy, panowie patrioci — czy on za „sprawę Ojczyzny" cierpiał? Nigdy! Jako dygnitarz Kościoła nienaganny, zwrócił ostro Rządowi uwagę na fakt, że powieszono księdza Konarskiego bez zdjęcia z niego sakry, i za to wywieziono go cichcem na wygnanie, gdzie zresztą pobiera stale od Rządu rosyjskiego 12.000 rubli pensji. On też w swoim liście do cesarza wyraźnie powiedział: „Opatrzność powierzyła Ci, Najjaśniejszy Panie, ten naród polski". Również w pierwszym

kazaniu swoim podkreślił świętość Władzy wszelakiej i zakazał hymnów narodowych, mówiąc iż „prawdziwy katolik winien się wstrzymać od tych pieśni".

A ksiądz nominat Rzewuski, czy on też kiedy w imieniu „pokrzywdzonego" narodu występował? Ujął się za arcybiskupem Felińskim, i za to spotkała go kara, boście rozsierdzili na nas względne dotychczas władze rosyjskie.

A księża, należący do waszych komitetów — czy na pierwszym miejscu nie postawili żądania, aby część funduszów, zebranych dla celów powstańczych — obrócić na świętopietrze, a przecież wiedzieli, jak każdy grosz jest drogi „Ojczyźnie?"

A te nabożeństwa patriotyczne w 62 — czy kler je z własnego impulsu odprawiał?! Płacony był. Tak samo można było zapłacić mu nabożeństwo za dynastię Romanowów...

Kiedy fabrykanci fortepianów warszawscy chcieli zamówić nabożeństwo za „pomyślność ojczyzny" — targowali się z Ojcami Misjonarzami ząb za ząb, a gdy ci nie spuścili z żądanej zapłaty 100 rubli — stargowali nabożeństwo u księży Pijarów na rubli 60. Potem się mówiło dla obałamucenia społeczeństwa, że cały kler połączył się z buntowniczym narodem w nabożeństwach za pomyślność ojczyzny!! A domniemana łączność kleru z dążeniami narodu?! Jak było z uwłaszczeniem chłopów? Patrioci oto domagali się uwłaszczenia i przeprowadzali je, a duchowieństwo katolickie, niby z nimi jedność tworzące — czy nie oświadczyło, że oczynszowanie włościan jest alienacją, która wedle przepisów kanonicznych wymaga sankcji od Ojca św., że zatem w dobrach swoich włościan nie oczynszuje?! *).

Tak, księże wikary, powtarzam, że patriotyzm katolickiego kleru jest taką samą mrzonką, jak wallenrodyzm Wielopolskiego.

---

*) Patrz: Dzieło Lisieckiego o Mrgr. Wielopolskim, str. 285, T. II. Statut Organiczny Królestwa Polskiego.

— Mimo to, błogosławił metropolita Fijałkowski naszemu powstaniu... — z uporem powtórzył ranny.

— Może Otto Bismarck jeszcze bardziej wam błogosławił. Brzózka zbladł, a biskup ciągnął spokojnie dalej:

— Jeżeli interes Kościoła idzie w danym momencie równolegle z interesami narodu, oczywiście możemy wtedy my, katoliccy kapłani, pofolgować naszym uczuciom patriotycznym, ale nigdy, gdy te interesa działają rozbieżnie. I w tym tkwi całe nieporozumienie, że nigdy partii wywrotowej nie przyjdzie na myśl wyszukać istotnego motywu w postępowaniu Kościoła, dogrzebać się pod powłoką chwilowej łączności Kościoła z nią: interesu czysto kościelnego, który skoro ustaje — ustaje i łączność. Uniesienia zaś i sentymenta poszczególnych członków Kościoła biorą za sentyment hierarchii katolickiej.

Pamiętaj, niegodny kapłanie, że ksiądz Fijałkowski przy całym patriotyźmie swoim — nie byłby się nigdy łączył z bezbożną zgrają oberwańców, którzy ostatecznie z honorami przyjmowali żołnierzy takiego Garibaldiego — największego wroga Kościoła — którzy synowi tego Belzebuba powierzyli tworzenie legionu — którzy potrafili wlepiać po sto batów przed frontem katolickiemu księdzu!! jak uczyniło wasze bożyszcze: pułkownik Czachowski księdzu Tomaszewskiemu ze Strawczynka — którzy bluźnili, jak ci z bandy majora Grylińskiego, mówiąc na wołanie kapelana, aby szli za krzyżem: „My nie pójdziemy za krzyżem, my za majorem Grylińskim pójdziemy! Niech żyje major Gryliński!“ — którzy czcigodnego kapłana ściągali z furgonów za uszy, dosłownie za uszy! jak pewien wasz oddział ściągał z furgonu księdza Szulca — i którzy krzyczeli do ludu — pouczająco, jak wasz dyktator Mierosławski: wtedy dopiero Polska powstanie, kiedy na kiszce ostatniego księdza powieszą ostatniego szlach-

c i c a. Na pewne byłby ksiądz arcybiskup Fijałkowski nie błogosławił tym rycerzom...

Ksiądz Brzózka słuchał z zamkniętymi oczyma. Zubowicz i Tournelle kołysali się na nogach, wahadłowo, pomrukując — Wilczyński blady patrzył w biskupa jak w tęczę — Szczuka obu dłońmi zakrył twarz — Zięba wytrzeszczył ślepia, gniotąc nerwowo sprezentowany karabin.

Tymczasem ksiądz Brzózka powoli otworzył oczy, młode, wierzące oczy i utkwił je w mówiącego:

— Cóżeśmy winni, że po naszej stronie stanęli nie tamci, ale Garibaldi, ale Engels, Marks, Mazzini i Wiktor Hugo?! Najprzewielebniejszy Pasterzu! Powstanie nasze nie krzywdziło nigdy niczyich uczuć. Powstanie polskie przygarnęło i Żydów i kalwinów i wolnomyślicieli, pamiętając, że niejeden wielki patriota był nawet wolnomularzem, jak książę Józef Poniatowski. Było to prawdziwe, jedyne, słoneczne zbratanie się wszystkich stanów, pojęć, wiar, ukochań. A jeśli kogo powstanie karało, to tylko zdrajców i renegatów.

Ksiądz Tomazsewski wygłaszał z ambony, żeby lud wyłapywał powstańców i znosił na probostwo ich ręce i ich nogi, za co on sam będzie im płacił po 3 ruble od sztuki. Musiał być za to ukarany i niesłusznie minął go stryczek dzięki księdzu Markowskiemu. Ksiądz Szulc nie usłuchał dowódcy na kilkakrotny rozkaz, aby zlazł z furgonu, przeznaczonego tylko dla rannych i dogorywających. Zbytnio dufał w potęgę swej kapłańskiej sukienki.

Księdzu biskupowi Łubieńskiemu musieli też powstańcy robić afronty, skoro wiadome się stało, że on z ramienia Wielopolskiego do papieża jeździł, nakłaniać tegoż, aby potępił powstanie nasze.

Mamyż czcić zdrajców, prałatów Bowkiewiczów, Niemekszów, Tafalskich i serwilistów, lizunów jak biskup Wołonczewski, jak Wierzchlejski i Gałecki?!

W pokorze cię błagam, Pasterzu — ja, prosty żołnierz

polski — nie zapominaj o tym, żeś Polak!! Nie zapominaj, coś winien tej ziemi, którą kler zgubił.

— A ja cię błagam, obłąkany człowieku, nie zapominaj o tym, żeś rzymsko-katolicki ksiądz! nie żołnierz polski, czy holenderski, ale rzymsko-katolicki ksiądz!!

Rzuciłeś najpierw katechizację w Łukowie, trzasnąwszy książką, przez Kościół polecaną, w ziemię — dlaczego?

— I ty się pytasz, polski biskupie, dlaczego? Nie wiesz, z jakich elementarzy wykładano tam dzieciom w szkole?

Wprawdzie elementarze te zyskały aprobatę władzy kościelnej — ale — posłuchaj Pasterzu, co w nich wykładano:

Na pytanie: co w duchu religii chrystusowej, my, poddani, jesteśmy winni cesarzowi naszemu, władnącemu Wszechrosją? odpowiada ów elmentarz: „Winni jesteśmy czcić i kochać Cesarza, okazywać mu wszelkie posłuszeństwo, wszelką życzliwość i modlić się Zań do Boga. Ojczyznę naszą Rosję należy kochać i dobrze jej życzyć i dla niej usługi swe poświęcić według tego, jak przepisuje prawo i wola Cesarza. Wyraźnie obowiązki te podaje religia nasza w Ewangeliach i innych księgach Pisma św. Wszelka władza, a najpierwsza monarsza, jest od Boga ustanowiona, bołoby tedy ciężkim grzechem uchylić tej czci i wierności, bo wyraźnie mówi Pismo św., że kto się sprzeciwia Zwierzchności, sprzeciwia się boskiemu postanowieniu i ściąga na siebie wieczne potępienie“ *).

Przeczytałem to w łukowskiej szkole i, trzasnąwszy książką o ziemię, wyszedłem i nie powróciłem więcej. Sądzę, że nie byłbyś i ty, najprzewielebniejszy Pasterzu, nic innego uczynił.

---

*) Elementarz polski. Nauka czytania pisma polskiego dla małych dzieci z różnym nabożeństwem i katechizmem katol., krótko zebrana niegdyś, kilkakrotnie drukowana i znowu przedrukowana. Wilno. W drukarni Romma przy ul. Żmudzkiej. R. 1843.

— To mylnie sądzisz, bo nie widzę w słowach przez ciebie zacytowanych ani jednego wyrażenia, które by się nauce Kościoła sprzeciwiało. A kapłana katolickiego tylko to powinno interesować, co Kościoła i jego nauki dotyczy.

Jedynie z wyżyn kopuły św. Piotra mamy my sądzić zjawiska wszelakie, a nie z wrzaskliwej trybuny ludowej.

— Tego jednakże nie chciałem uczyć polskie dzieci, zresztą uczę je i teraz z szablą w ręku, a wkrótce zapewne i ze stryKiem na szyi.

Błagam cię, Pasterzu! policz, ilu dygnitarzy równych tobie — ilu księży poszło już na Sybir i na szubienicę! Twój własny sekretarz nawet *) i bratanek twój rodzony, ksiądz wikary Szymański...

— Nieporozumienie! Nieporozumienie, księże wikary! Kościół nie może iść ręka w rękę z jakobinizmem. Temu nieporozumieniu uległo wielu kapłanów, wielu wśród was. Temu nieporozumieniu uległ nawet taki geniusz, jak margrabia Wielopolski, który zyskał sobie chwilowy mir u masonów tym powiedzonkiem, skierowanym do kleru: „Nie ścierpię rządu w rządzie".

Nieporozumienie!

Kościół idzie zawsze z rządem w parze, jakikolwiek byłby stosunek tego rządu do ludności.

Wielopolski, mówiąc wiadome słowa, miał na myśli kler zbuntowany, kler kokietujący z jakobinizmem, lub złych się chwytający celów — a więc kler w niezgodzie będący ze swoim posłannictwem, albo błądzący wśród rozpętania żywiołów. Nie obraził powiedzeniem swoim Kościoła, którego był wiernym synem — zresztą dał tego dowód, chcąc Jezuitów sprowadzić, aby ład w kraju uczynili.

— Tak... Przypomniał sobie może, jaką rolę odegrali Jezuici na Białorusi, przypomniał sobie ks. Kattenbringa, wy-

*) Ks. Krajewski, podkustoszy podlaskiej kapituły.

głaszającego panegiryki na cześć carycy Katarzyny w Płocku, no i rolę ich w Chochołowie, w roku 46...

Biskup kontynuował dalej:

— Z przyzwoitym odłamem kleru żył Wielopolski w najwyższej zgodzie — z Popielem, Łubieńskim...

Nie ulega kwestii, że cała początkowa rola kleru w chwili wybuchu powstania, to jedno wielkie, idiotyczne, a smutne nieporozumienie: kler nie umiał, czy nie chciał zdradzać swych istotnych celów — rewolucjoniści chcieli w nim widzieć to, co jako jedyne m o d u s v i v e n d i wówczas uważali. W pierwszej chwili oszołomienia pod wrażeniem idei, że połączenie Litwy i Rusi — gdzie katolicyzm był w mniejszości — z Królestwem — gdzie katolicyzm był dominantą — pod wpływem tego wrażenia kler wyciągnął rękę do was buntowników — ale to trwało na szczęście krótko.

Nieporozumienia muszą trwać krótko.

Tych głupców spośród kleru, którzy na serio przejęli się nowymi hasłami, Kościół musi potępić, a tymczasem łagodzi jak może sytuację.

Oto my obecnie podpisaliśmy 8 adresów do Tronu, a w nich 568 podpisów najwybitniejszych kapłanów polskich.

— ...polskich...? — przerwał blado Brzózka.

— Rzymsko-katolickich, jeśli chcesz, mości wikary. Grzegorz XVI lepiej był poinformowany o sytuacji w 31 roku, niźli Pius IX dzisiaj, i dlatego tak arcysurowo potępił ówczesne powstanie i tak kategorycznie nakazał klerowi tutejszemu, aby zachowywał bezwzględne stanowisko wobec rebelizantów. Zresztą i obecnie Pius IX pochwalił „biskupią roztropność i hart" ks. Metropolity lwowskiego za potępienie hymnów patriotycznych i powstańczych aspiracji, mimo mylnie go informujących Ojców Zmartwychwstańców. Może i teraz uratujemy Kościół, jeśli wy go do reszty nie zgubicie.

— A Ojczyzna...? — cicho, głucho spytał Brzózka, zakrywając oczy.

— Naszą Ojczyzną jest Kościół. Usłuchaj mnie, grzeszniku! Usłuchaj rady księdza Kajsiewicza, mówiącego: „Jeśli chcecie być nie kapłanami katolickimi, ale kapłanami Polski ubóstwionej, do czego świeccy zapaleńcy dążą — zamiast białej komży Boga Miłosierdzia i pokoju, wdziejcie czerwoną bluzę, wynieście Przenajświętszy Sakrament z kościoła, jako przesąd średniowieczny. Zanieście do świątyni, ubranej w barwy narodowe, ozdobionej popiersiami wielkich patriotów, zanieście obraz przedstawiający: powstańca z kosą na trupach bratnich, podającego dłoń Włochowi ze sztyletem w ręku i trucizną w zrabowanym kielichu kościelnym. Na miejsce Matki Boskiej Częstochowskiej postawcie jakąkolwiek niewiastę z okiem bezwstydnym a bluźnierstwem na ustach i zanućcie potem: „Z dymem pożarów"... bo taka jest idea, taki niezbędny koniec Komitetu Narodowego, Centralnego. Uczyńcie tak, bracia kapłani — będzie to bezbożne, ale przynajmniej szczere — albo też rzućcie się do stóp Ojców waszych, Biskupów, i proście o uwolnienie od klątw, w któreście popadli" *). Tak uczy najświątobliwszy, najuczeńszy nasz kapłan. Usłuchaj go, grzeszniku!!

Wróć na łono Matki-Kościoła, odpraw pokutę kościelną, odeszlij do domu tych obałamuconych przez ciebie! Wpływami moimi wyrobię to, że przewiozą cię wprost stąd przez granicę pruską, ale wyrzeknij się uporu — wyzuj obłędu!

Pomnij, jak surowo karcili papieże rozlew krwi przez kapłana dokonany. Aleksander III orzekł, że nie można wyświęcić diakona, który kosę niósł tak nieuważnie, że się na nią przypadkowo nadział idący drogą chłop.

A ile dziesiątków trupów chrześcijańskich masz ty na sumieniu!!!

---

*) „Tygodnik katolicki". Grodzisko. 23/1. 1863.

— Najprzewielebniejszy Pasterzu! Aleksander IV za to udzielił duchownym sędziom inkwizycyjnym przywilej, że mogą się uwalniać ab irregularitatae, a więc skazywać na śmierć i tortury, gdy tego bezpieczeństwo Kościoła wymagać będzie. Jeżeli więc wolno kapłanowi zabijać wroga Kościoła — dlaczegóż by mu nie wolno było zabijać wroga swojej Ojczyzny?!

— Zatem nie chcesz, abym cię przewiózł przez granicę pruską? Pomyśl, nieszczęśniku! osaczony jesteś zewsząd, zewsząd grozi ci haniebna śmierć na szubienicy — właściwie powinieniem cię wydać w ręce władzy, jako żeś szkodliwy dla społeczeństwa i dla powagi Kościoła...

Stało się cicho, jak w krypcie, gdzie umarli leżą — na sekundę — bo w tej chwili wybuchnął młody, gorący, egzaltowany głos Brzózki:

— Wydaj nas, księże biskupie! Z posterunku mego nie zejdę. Oni też.

I wskazał wychudłą ręką garstkę swoich żołnierzy.

Biskup mimowoli poszedł za kierunkiem jego gestu. Przypomiał sobie, że Zięba sprezentował broń, gdy on wszedł, więc do niego pierwszego przemówił.

— Ty nie pójdziesz, wierny synu Kościoła,- za księdzem, którego wyrzucam ze społeczności kościelnej. Od dziś nie ma już prawa ksiądz Brzózka ani sakramentów udzielać, ani odprawiać mszy. Suspensa ad beneplacitum suum. Jako katolik prawowierny nie możesz trwać u boku tego jawnogrzesznika. I wy również, braciszkowie, którzyście dość zgrzeszyli, opuszczając zakon, ale którym wyrobię zmniejszenie pokuty klasztornej, skoro tu zostaniecie. Jako biskup nakazuję wam to. A reszta was, mam nadzieję, również da pokój, choćby w imię zdrowego rozsądku, głupim sztubackim porywom — i, złożywszy broń, pójdzie, skąd przyszła. Wszystkim czynną pomoc obiecuję. Polskę zaprzepaściliście sami. Nie ma już Polski.

— Czy mogę odpowiedzieć imieniem naszym? — wysunął się Tournelle z szeregu.

Zięba wyciągnął machinalnie ramię, jakby się bał, że stanie się za chwilę coś, czego żadną miarą uczucie jego katolickie dopuścić nie mogło. Ale biskup skinął zezwalająco głową:

— Proszę cię, synu, odpowiedz!

Wówczas Tournelle trzasnął pałaszem o podłogę i rzekł głośno, krótko, dobitnie:

— Hańba tobie, polski biskupie!

— Tfu! — splunął Zubowicz, w tym klasztorze po raz wtóry.

Oczy biskupa nabiegły krwią i stały się, jak dwa rubiny. Jeszcze raz jednak zwrócił je na Ziębę:

— A ty? czy ten cham i w twoim imieniu odpowiedział?

— ...i w moim — rzekł prędko stary kosynier, rzucając karabin w kąt.

Brzózka podniósł się na łokciach. Krwawe wypieki wystąpiły na jego policzki. Źrenice rozgorzały, a z ust spierzchłych zaczęły padać gromkie słowa, jak gdyby komendy wojskowej:

— Kłamstwo ci zarzucam, przyjacielu księcia Paskiewicza! Wobec tych wszystkich, których namawiałeś do odstępstwa i zdrady, kłamstwo ci zarzucam! Polska jest — większa i świętsza, bo przez próbę ognia przeszła — przez próbę waszych zdradzieckich rąk! Polska jest, ale obyś ty był ostatnim podlaskim biskupem i oby zniesiono tu nawet twój zakon, po wieki.

Drodzy! powtórzcie za mną temu renegatowi w twarz: „Niech żyje Ojczyzna!"

— Niech żyje Ojczyzna! — powtórzyli echem tamci skwapliwym, zapatrzeni znowu w swój buńczuczny sen, który im na chwilę przerwano.

III

KARTOFLANE FRASUNKI

Przewaliła się zima luta, nie zdradziecko. Orężnie się przewaliła, dmąc zuchwale w wielkie surmy wichrów, trzaskając pancerzami lodu o bory stuletnie.

Pochylił się — hej! pochylił! niejeden wierch dumny i szumny, na wiosnę kwitnąć jeszcze mający — brudną już co prawda, starczą zielonością.

Poniektóre drzewa zaparły się ostatkiem gnatów korzennych w zamarzłą mać ziemię i kiwały zgorszone głowami, jak wzgardliwe starce, na hetmanienie młodej, dzikiej hałastry.

I wytrzymały zimę.

Ptaki odleciały, zamarzły lub zamilkły, ale ozwał się inny chór. Las nie może być bez grania. Więc słuchały bory długo, rozpacznego chóru tysiąca wilg — poszumu tysiąca trzmieli — walenia tysiąca dzięciołów. Ot zwyczajna muzyka zimowej zawiei.

Fruwały kraski śniegu w powietrzu, obłękitnione od czasu do czasu jakimś niespodzianym odłamem światła. Łomotały krogulce burz, gdzieś hen! u szczytu drzew, prując strzałami swych ostrych dziobów niewinne ofiary.

Tarantowate brzózki mdlały z przerażenia, wśród tego huku i stuku i jarmarcznego natrząsania się z patriarchalnej, wiekuistej ciszy boru.

Ta cisza wracała czasem, nadziemska jakaś, gorsza od gwaru, z ciżby jakby wylęgła, której okropna wieść wstrzy-

mała dech w piersiach, i — nagle — palił ktoś z pistoletu w poplątanej topieli konarów i zwalało się coś na ziemię, jakby ciało zastrzelonego człowieka.

To nic. Złamała się tylko gałąź i padła wężowym oplotem na obrus śniegowy.

Czasem zawyło coś, jak z krtani zdychającego zwierza, zatrzeszczało coś, jak chrupnięcie szczęki. To nic. Okiść tylko zleciała z włochatego smereka.

Na rubieżach boru mrugały błękitne wejrzenia poprzez osoplone rzęsy — lub szare, ogromnie tajne, ogromnie smutne oczy — ale to wszystko gasło niezmiernie pośpiesznie, tętniąc, dudniąc, chrzęszcząc, i szła noc, zimna, straszna, gehenniczna noc, obojętna na harcowanie wichrów i śniegów.

Wilgotne pyski wilcze podnosiły się wtedy w górę i cicho, łagodnie wyły, chromatycznie sepleniąc pacierz głodu i okrucieństwa.

W zamyśleniu niekiedy wypływał księżyc i patrzył z góry — jak pan; z niezmiernej oddali — jak Bóg, — wodę różaną swego poetycznego blasku lejąc na grozę równin, na bezprzestanny dreszcz lasowych szczytów. Zupełnie jak paź złotowłosy, który słodko na gitarze królewnie przygrywa, nie widząc, że jej brwi bólem ściągnięte i przerażeniem. Dawniej jej grywał, a ona się śmiała, całą młodości swojej krasą i całą łaskawością swych dumnych ust...

Świecił — a wówczas zaczynały się gmatwać i ryć napisy na śniegu.

Kopytka łań znaczyły swój kwiatowy ślad o drobnym rozkroku, przeplatany nawałą odcisków byczych, końcami ostróg porżniętych, wyraźnie znaczących obwód skorupy dookoła racicznego uniku: gniazdowy stąp walnego jelenia. Dalej, dreptanie szaraka i chytre kluczenie lisa mozaikę pisały smutnej niewątpliwie historii...

I takie to wyraźne było — że widziało się jako żywo, jak gnał tędy kierdel jeleni, wystraszony wilczym smrodem,

chwiejąc kotwicznymi wieńcami rogów, po bokach mając płochliwe flanki podciółków. I szaraczka się widziało naiwnego, pląsającego lekkomyślnie na piance śniegowej, gdy już zza zmurszałego pnia wychylał się rudy pysk lisa.

Na to wszystko księżyc patrzył sentymentalnie, bez ciekawości i bez współczucia, różaną wodę swego poetycznego blasku lejąc. A potem z odległych nieboskłonów, z zapomnienia jakby, wypadała chmura, ciężarna, gnuśna i nakrywała księżyc płachtą — tak nagle, z tak dramatycznym spokojem, że milkło wszystko na moment, zaryte w bezdeń nieprzebytej nocy.

Straszno się stawało wówczas człowiekowi, zwierzowi i borom. Poza nimi, nad nimi, pod nimi, rozpoczynały się znowu harce piekielne, łomoty niewiarogodne, bezprzytomne gonitwy, kawalkady centaurów — walenie rogatych łbów o mur — czy ostrzenie niewidzialnych kłów o niewidzialne kamienie.

Lecz powoli, rydle także niewidzialne zaczęły kopać dołki pod zamczyskiem z lodu i śniegu. Zastygłe żyły, poprzecinane chrobrą, niecierpliwą dłonią, zaczęły nagle sączyć pod wałami śnieżnych fortec.

Mróz zelżał zdumiony.

Wiosna szła: młódka radosna, klaszcząc w ręce, jeszcze od resztek mrozu zarumienione.

Swarliwy grzechot nastał: opierały się odumarłe już buki i graby zmartwychpowstaniu — świerki i sosny udawały, że są zawsze zielone i młode, że dla nich wiosna jest zjawą bezużyteczną i bezcelową — lody warczały spodnią warstwą już tającą, a gdy i z góry przygrzało je słońce, buchały wodą jak płaczem radości — ciekną raptownie poprzez gąszcz, podobny zupełnie do cerkiewnych, carskich wrot, o misternej, starożytnej plątaninie motywów.

Śnieg bielał jeszcze na spadach, jak plastry pudru, zapomniane gdzieniegdzie na twarzy starych zalotnic — ale i to znikało, wsiąkało, topniało piorunem, podczas gdy delikatny

puch zielonawy perlić się jął na wilgotnej ziemi, musować nad szklanymi roztruchanami jezior, forsownie się przebijając poprzez twardą podłogę zadeptanych mchów, i igliwia, zwierzęcego nawozu, zmielonych szyszek, otrębów z gałęzi i liścia — smutne wióry, pozostałe po warsztacie zimowym. Wiosna szła na dobre, a z nią wszystko, co z wiosną idzie: kwiaty bardzo różowe, bardzo różowe pragnienia — liście bardzo zielone i bardzo zielone nadzieje.

Każdemu się zdawało, że nadejdzie coś niespodziewanego, radosnego aż do obłąkania, z tej błękitnej linii horyzontu, któremu magnacko podesłano kilimy barwne — aksamitne przędziwo młodej trawy i pąkujących kwiatów o złotej podszewce lotnego piasku.

* * *

W kwaterze księdza Brzózki, między klinowymi ramionami Bugu i Sarny, na dnie jaru połączonego podziemnym korytarzem z wnętrzem starego dębu — oczekiwano wiosny niecierpliwiej zapewne niż gdziekolwiek.

Czym jest takie oczekiwanie, mógłby zrozumieć tylko taki, który by zimę podlaską w borze spędził, licho odziany i przymierający często gęsto głodem.

Wychylić się z lasu nie mogli, bo snuły się ciągle patrole kozackie o tak przeważającej sile, że zamarzyć było nie podobna o pokazaniu zębów.

Wierny lud okoliczny znosił niekiedy bochenki chleba i kartofle, jak widmo znikając. Ani wieści, ani dachu nad głową.

Zimę spędzali całą, zaszyci w jar, chuchając w dłonie, odmrożone mając twarze i nogi.

Ksiądz Brzózka wyleczył się z ran, zadanych przez Moskali pod Golinem i przez biskupa Szymańskiego w lędzkim klasztorze, i czekał pełnej wiosny, aby wrócić do pracy nad krwawym zagonem.

Wychudłą egzaltowaną twarz nachylał czasem i całował — plugawą jeszcze od roztopów — ziemię, z radości, że już się wyzwoliła z lodów i śniegów i umajała powoli a bujnie.

Na cześć nowych dni chwały się maiła, pod stopy narodu, który na pewno będzie teraz zwycięski.

W jeden piątek wielkopostny pod zachód słońca, kleryk leżał krzyżem na czatach i modlił się.

Post święty zachowywał o tyle przykładniej, że ani kruszynki chleba nie mieli już w czeluści dębu.

Trochę mu się dwoiło w oczach, od senności, od głodu i od tych wiosennych czadów, unoszących się w powietrzu.

Pachniał mu las młody, jak dawniej, dawniej, kaplica cudownej Matki Boskiej Chodelskiej. Anemony i prymule miód swój słodki słodką przemocą wciskały w usta i nozdrza — liście łechtały wonią cierpką a tęgą, a żywica sączyła się na las, zagadkową, przejmującą wnękliwością.

Ptaki ogłuszająco grały w okół, ćwierkały, w wysokie tony fletu bijąc, lub w dzwoneczkowe brzdąkanie. Od ziemi buchała para, jak od zgrzanego, parzącego się ciała, natartego silnie ziołami — korzenny, mocarny, upijający zapach. Czasem zalatywała woń jakby świeżo pieczonego chleba, zapach młodziutkiej piersi dziewczęcej, i wówczas podwajał się głód leżącego: pragnął czegoś niezmiernie, całą siłą, aż do bólu i rozkoszy.

I zaraz potem mruczał tym gorliwiej wielkopostne pacierze:

— O Jezu! od Piłata niesłusznie na szubieniczną śmierć dekretowany! O Jezu od złego współwiszącego łotra nagabany...

Nagle porwał się na równe nogi i z karabinu zmierzył w gąszcz.

— Kto tam?! Stój! „Ojczyzna"?

— „lub śmierć"! — padł odzew i ze ścieżyny wąskiej, z liliowego zmierzchu, wysunął się łeb konia, cudny, jak

z białego pluszu — a nad nim mała główka kobieca, z obciętymi równo nad brwią włosami.

Spokojne, niezmiernie obce i obojętne oczy patrzyły chwilę w młodego żołnierza.

— Gdzie dowódca? — spytało zjawisko.

Kleryk oniemiały wskazał jar za sobą.

Wówczas ona, potrąciwszy go łopatką konia, zaczęła zjeżdżać w dół.

Zobaczył przepyszny sztuciec (na pewno belgijski!), przez jej plecy przewieszony — dwa pistolety srebrzyste w olstrach, szabelkę u boku i zad konia szeroki, lekko się zapierający na tylnych nogach, bowiem brzegi jaru były oślizgłe.

Kto to mógł być?

Może anioł? Jeden z tych, co odwaliły kamień grobowy Chrystusa? Może przybiegł wieścić o końcu niedoli, o wielkim święcie zmartwychpowstania? Skrzydeł nie miał, ale po co one u ramion, kiedy dusza skrzydlata?

Więc kleryk rzucił czaty i jął walić na łeb na szyję w dół przepaści. Dopadł konia — a że ów strachał się i ślizgał, za uzdę go wziął i tak sprowadził niespodziane zjawisko ku braciom.

Przed ogniskiem wolno się rozpalającym stanął koń, fucząc i bocząc się.

— Czy mam przed sobą forpocztę oddziału księdza Brzózki? — spytała piękna panna, nie zsiadając z konia.

Ksiądz Brzózka uśmiechnął się i przytaknął.

— A sam ksiądz Brzózka?

— Jestem ja.

Piękna panna skłoniła lekko głową, tak że brunatno-rdzawe pukle jej uciętych włosów nachyliły się falą ku skroniom.

— Skąd się pani dowiedziała o naszym ukryciu? I czym mogę służyć?

— To ja pragnę służyć — odrzekła spokojnym, chłodnym

głosem. — Dowiedziałam się z wiarogodnych źródeł, że ruszyć ma na was obecnie obława kubańskich kozaków z podpułkownikiem Zankisowem na czele, a że mam z nim osobiste porachunki, więc pragnę jako woluntariuszka walczyć u waszego boku.

— My nie jsteśmy po to, jaśnie wielmożna panno, — zauważył Zubowicz, — aby załatwiać nasze osobiste porachunki...

— A zresztą panny jak świat światem nie chadzały na wojnę — zaopiniował zgorszony Szczuka.

— Owszem, chadzały panny na wojnę — przerwała opryskliwie. — Pustowojtówna... a w 31-ym Platerówna, moja ciotka...

— Radziśmy z paranteli — mruknął nieprzejednany Zubowicz.

Panna spojrzała na niego jakby w zamyśleniu.

— Bronią władam lepiej, niż wszyscy moi bracia, o życie nie dbam, a tym zacieklej do walki będę szła, że, jak rzekłam, Zankisow dowodzi kozakami.

— Czy wolno spytać, co ci, panienko, Zankisow uczynił? — wysunął się szarmancko Tournelle. — My potrafimy sami pomścić twoją krzywdę!

— A pewno! — zgodził się Zięba.

— Dziękuję — kiwnęła panna głową. — Zastrzelił mi kogoś Zankisow. Zresztą mniejsza z tym.

— Moje dziecko, — rzekł Szczuka, — ilu naszych zastrzelił Zankisow i jego szanowni koledzy!...

— Może być, — przytaknęła panna, jakby chciała rzec: „co tamci znaczą"! — A dalekoż wasz oddział? — spytała po chwili.

Znowu się uśmiechnął ksiądz Brzózka:

— Oto on. Nikt by nie uwierzył, że w komplecie.

Brwi panny podniosły się lekko, aż po linię grzywki.

— Jak to?

— Ano tak. Z czterystu ludzi zostało nas dziewięciu.

— Uciekli? — spytała lekceważąco.

— Nie, panienko. Ani jeden nie uciekł i ani jeden nie zdradził. Wszyscy padli.

— ...albo udekorowali sosny przydrożne...

— No i jakże? a wy?!

— My też wnet udekorujemy sosenki przydrożne. Dlatego, jasna panienko, nie chcemy twojej kompanii. Szkoda by takiej białej szyjki na kozuński stryk.

— Więc naprawdę, księżę-dowódco, nie przyjmiecie moich służb?

— Nie mogę pani.

Koń gryzł wędzidło, cały w pianie, która występowała błękitnymi plamami na niepokalanym płaszczu jego boków i karku.

Cudna panna przyglądała się z góry marnemu obozowisku i chmurzyła złote brwi w zygzak kabalistyczny.

Dookoła jej rzęs uczepił się pył, co dawało jakąś łagodną mglistość jej spojrzeniu i osładzało energiczny, zwielokrocony blask jej pańskich, wzgardliwych oczu.

Pocałunkowe, magnetyzujące, krwawe laki jej ust krzywiły się delikatnie, obrzydzeniem i wyniosłością wrodzoną. Ogień grał na srebrze jej broni, na wędzidle i guzach, jak na klawiszach.

— Ale może pozwolicie, szlachetni rycerze, że zejdę z konia i na chwilę spocznę przy waszym — nie powiem, że gościnnym ognisku. Półtorej doby do was jechałam, nie zsiadłszy z konia...

Tournelle podbiegł, chcąc pannie pomóc z konia zeskoczyć, lecz ona zsunęła się sama, lekko i bez szmeru, na murawę — zluźniła koniowi popręgi i, zarzuciwszy wolno lice na jego mokrą szyję, podeszła do ognia.

Tu położyła się i, zasłoniwszy twarz obu dłońmi, milczała.

Płomienie pełgały po jej niewiarogodnie cienkich palcach,

na których lśnił za obszerny męski sygnet, rznięty w rubinie — po jej włosach, z których zdjęła konfederatkę; znaczyły płomienie białą linię rozdziału na jej ciemieniu i szkliły się na jej wąskich paznokciach.

Blaski inne gasły dokoła — wszystkie wsiąkały w ognisko, a poza tym tylko czupryna panny płonęła i sieć jej palców, zatopionych we włosy.

Wraz ze światłością zamierały i wonie. Pachniało tylko wilgocią, a dym i pot koński wwiercał się w nozdrza.

Drzewa szumiały z cicha — mnichy, swe brewiarze klepiące... Daleko — daleko — groził czasem jeleń przeciągłą nutą swego:

— öooooo — oah!

Nietoperze zniżały się lotem wariackim, na oślep, zawracając pod prostym kątem, i tak dudniała kołysanka lasów zwyczajna, przerzynana czasem niespodzianą nutą ciągu słonek, lub gęganiem spóźnionych gęsi.

Bezgłośnie zresztą, troskliwie, słała wiosna swoje gniazda, swoje barłogi, swoje legowiska, zarówno wilcze jak jagnięce, swojej parne pościele...... tam, w najczarniejszej tajni lasów — a ludzie dumali przy ogniu, dziewięciu mężczyzn i jedna dziewczyna, nad krwią ludzką przelaną i nad mającą się jeszcze przelać.

— Więc kubańskich kozaków nam nasyłają, patrzcie! — dziwił się Zięba.

— Pięciuset ich idzie — odezwała się raptem panna, nie odsłaniając twarzy.

— Mój Boże! a jak przyjdzie tyralierka, to ja chyba igły od baby jakiej pożyczę i będę mundury nasze cerował... — biadał Bojanek.

— Dlaczego? — zainteresowała się panna.

— Kosę tylko mam, a choć jasna panna nie zwyczajna sprawom wojennym, to przecie chyba wie, że z kosy sam Pan Bóg kuli nie wypuści.

— Bluźnisz brat! — zestrofował kleryk. — Kiedy święty Eryk, król szwedzki, podniósł chustkę do oczu, aby zapłakać nad poległymi Finlandczykami, proca z chustki wyleciała i ugodziła oficera nieprzyjacielskiego, czym Pan Bóg chciał okazać, że godziwa rzecz bić wrogów swojej ojczyzny. Jeśli tedy mogła proca z chustki wylecieć...

— Pewnie, pewnie, ale ja bym już wolał taki oto sztuczczyk, jak jasnej panny...

— Proszę — rzekła panna zimno. Przez głowę ściągnęła rzemienie i wręczyła Bojankowi swój śliczny, rzeźbiony w lwie mordy sztuciec, dodając do niego torbę pełnę naboi.

Odmrożone policzki Bojanka stały się fioletowe. Trzymał strzelbę dwiema rękami, a te trzęsły się, że aż dzwoniły sprzączki o lufę.

Wreszcie jedna łza za drugą zaczęły płynąć po fiolecie jego policzków, takim gradem jak u małych dzieci:

— ...będęż je ich bił, będęż bił... o jasna panienko! za wasze zdrowie!

— Myślałaś, jaśnie wielmożna panno, że zastaniesz pułk w algierkach sobolowych, z bronią taką ot jak Bojankowa — rzekł Zubowicz — a stanęło przed tobą paru obdartusów...

— Nic nie myślałam — odpowiedziała chłodno.

Tymczasem przebudził się z zadumy ksiądz.

— Nie możesz pani niestety zostać z nami — ale możesz wielką oddać Ojczyźnie przysługę. My z lasów ruszyć nie możemy — jest nas tak niewielu, że żadnego wybrać nie mogę na posłańca. Gdybyś ty, pani, zechciała powiadomić Rząd Narodowy w stolicy, że my trwamy i że na nas wyruszają obecnie kubańscy kozacy. Może nam pchnie nasza władza narodowa jakiś świeżo sformowany plutonik?

Piękna panna przypatrywała mu się ciekawie a z niedowierzaniem:

— To wy nie wiecie, że dawno już nie ma Rządu Narodowego?!

Jak ptak ogromny, a posępny, jak ów przedpotopowy sęp Aepioruis, spadła nagle cisza na jar i jak ów przedpotopowy sęp, wżarła się w mózgi i serca.

— Coś mi bąknięto w Lądzie — Jezu! nie wierzyłem... Nie chciałem tam z nikim gadać... A Traugutt...? — spytał z zalękiem Brzózka.

A piękna panna wsparła się na obu łokciach. Nie patrzyła już na nikogo. Przed siebie tylko, daleko, w zagadkę czarnej nocy i mówiła spokojnym, obojętnym głosem:

— Zeszłego roku, w sierpniu to było. Tak. Na Matkę Boską Śnieżną, w Warszawie.

Naporem niezrumiałym pchnięci, poszliśmy wszyscy na stoki cytadeli.

Tłum był mnogi — może dwudziestotysięczny, a tak milczący, że wyraźnie słyszałam skrzyp czyjegoś buta, hen, na drugim końcu placu. Twarze były tak blade, jakby szpital jaki otwarto i wygnano zeń umierających, albo jak gdyby z całego tłumu ani jeden nie miał być wyłączony z kaźni. Dlatego prawie aż dziwiło, że tylko pięć szubienic stoi przed nami, wysoko, powiewając pięcioma strykami.

Koło mnie stała młoda panna w żałobie. Oczy miała tak straszliwie piękne, że odwracały uwagę od narzędzi kaźni, choć nie patrzyły na nic i na nikogo. Ciągle tylko liczyła stryki, jakby się zastanawiała, kto na jakim sznurze zawiśnie. Najmniejszego ruchu nie było w całej jej postaci, tylko krtań jej ustawicznie drgała, jakby przełykała niezmiernie trudne do przełknięcia rzeczy.

— Jadą... — rzekł ktoś nagle za moimi plecami, szeptem, ale szept ten powiał jak wicher szaleństwem grozy. Zwróciliśmy wszyscy głowy w tył poza siebie, skąd z bramy cytadeli ruszała właśnie piechota, potem jacyś ludzie czarno ubrani i — wreszcie — wypadło pięć wózków drabiniastych, jednokonnych, na czarno pomalowanych. W pełnej gali z białymi epoletami i sznurami, w hełmach, na siwo-jabłkowitych ko-

niach jechali dookoła nich żandarmi z obnażonymi pałaszami.

Żadna siła ziemska nie byłaby oderwała w tej chwili oczu naszych od tych pięciu zbliżających się wózków, tylko panna obok mnie stojąca nie poruszyła się.

Zapewne liczyła dalej stryki.

Na każdym z wózków siedział człowiek, o dziwnym wyrazie twarzy, a obok kapucyn z krzyżem lub różańcem.

Pierwszy jechał pan Traugutt, w okularach, w granatowym, grubym paltocie, obszytym taśmą. Modlił się, mrużąc oczy przed blaskiem słońca, które grało na jego szkłach. Drugi jechał, uśmiechając się przyjaźnie, pan Krajewski. Długą brodę czarną gładził.

Trzeci, skupiony i zamyślony: pan Toczyski. Czwarty: pan Żuliński, blady jak trup, a piąty: pan Jeziorański, oglądający się niespokojnie spod najeżonych włosów.

Cała istotna i domniemana, tajna, polska Dyktatura...

I oto poschodzili ci dziwni ludzie z czarnych, jakby sadzą okopconych wózków, któremi w zwykłym czasie gnój wożono — i jęli się sobie przyglądać u stóp szafotu — w cudnym niewysłowionym blasku jesiennego słońca.

Polacy wszyscy wiedzieli, że tych pięciu widzi się po raz pierwszy w życiu, mimo że sądzono ich i zasądzono razem, jako jedno tajne, groźne dla Rosji, dotąd nieuchwytne towarzystwo.

Oficer-audytor odczytał wyrok, pośpiesznie. Skazańcy podali sobie ręce w milczeniu, prędko i prędko ucałowawszy krzyże i zarzuciwszy na siebie białe, śmiertelne koszule, jakby gonieni niewidzialną siłą, zaczęli iść po schodkach na szafot.

Wiele rzeczy strasznych nastąpiło, ale najstraszniejsze było, kiedy pan Traugutt zatrzymał się na schodku ostatnim i powoli jął zdejmować okulary. A kiedy je zdjął, ostatnim nawykiem przetarł i rzucił, jako przedmiot niepotrzebny już i bezużyteczny — a powieki na chwilę zamknął, zdawało się, że już

nastąpił koniec okropności, że cały akt następny będzie tylko śmieszną komedią. Nikt by nie przypuścił, że taki zwykły gest, jak zdjęcie okularów, może mieć w sobie tyle treści...

Kat zakładał stryczki, z brutalną zwinnością, jeden za drugim. Pan Traugutt złożył ręce do modlitwy i patrzył w niebo, nie mrużąc już oczu. Pan Toczyski ucałował stryk, jak dawni męczennicy, i sam go sobie pchnął aż pod krtań. Pan Krajewski uśmiechnął się do kata, który mu przewiązał brodę; wyciągnął ją spod stryka i ułożył na piersi, czarnym wachlarzem. Gdy do pana Żulińskiego zbliżył się oprawca, panna stojąca obok mnie wspięła się nagle na palcach i dziwnym, strasznym, szklanym głosem zawołała:

— Bracie! odwagi!

Wówczas pan Żuliński zarumienił się lekko i skinął ku niej głową, z niezmiernym dostojeństwem i miłością.

Ujrzeliśmy, że pan Traugutt patrzy w nas i że otwiera usta, aby coś powiedzieć — w tej chwili jednak trzasnął kat obcasem w schodki, na których pan Traugutt stał.

Jeszcze czterokrotnie powtórzył się ten trzask, jak kanonada najstraszniejszych armat, a bębny zawarczały...

Panna Żulińska padła pierwsza na kolana, a za nią runął cały tłum, wszyscy, co do jednego, katolicy i Żydzi, bez krzyku, bez słowa. Tylko jedna pani Krajewska stała — szóste, nieruchome drzewo męki — i wysoko nad naszymi głowami podnosiła dziecko — trzyletnie może dziecko, pokazując je wiszącemu mężowi.

Wyście dużo zapewne widzieli pól, zasłanych trupami — ale nie widzieliście nigdy i nie zobaczycie takiego pola żywych ciał ludzkich, które by się zdawało polem umarłych.

. . . .

Umilkła piękna panna, a po chwili dodała, jakby sobie coś przypomniawszy:

— A zakrzyknął tłum dopiero wtedy — grozą i szaleństwem bezradności, gdy zacharczał ktoś nagle na stryku.

To pan Jeziorański jeszcze się męczył na źle założonym sznurze, pod zjeżoną grzywą włosów.

Dwie łzy czerwone jak krew płynęły mu z oczu. Może to była i krew?

Przestała mówić.

Ogień syczał, miłe wywodząc żale i pretensje — koń prychał przyjaźnie — drzewa sennie i łagodnie szumiały...

Wszystko było obce temu opowiadaniu. Wszystka cisza, wszystek spokój nocy wiosennej, podlaskiej, sprzeciwiał się temu obrazowi, malowanemu głosem obojętnym przez piękną pannę.

Z wyraźnym wysiłkiem odezwał się pierwszy Zubowicz.

— Zdaje mi się, jaśnie wielmożna panno, że łatwiej by ci przyszło nam opowiedzieć o karnawale na ten przykład, o kawalerze, który najpiękniej tańcował, nie na wywoskowanym stryczku, ale na wywoskowanej posadzce. Radzi byśmy coś wesołego usłyszeć...

— Wesołego? A były bale. Owszem. Tańcowałam nawet na jednym, aż do białego mazura. W Łomży to było. Cywilni nie byli proszeni, tylko sami panowie oficerowie rosyjscy.

Gospodarzem balu był pan naczelnik Miasojedow — a gospodynią pani Majewska. Dwóch kozaków wprowadziło ją na salę — nieco nawet niezręcznie, zdaje się, bo miała rozdarty rękaw i na plecach stanik poszarpany.

Bardzo ładny staniczek atłasowy biały i purpurowe róże przy piersi. (Szczęście, że różom nic się nie stało...).

Równocześnie z nią wprowadziło czterech żandarmów jej męża, pana Majewskiego. Tylko że ten miał aresztancki mundur, kajdanki na rękach i nogach i że go postawili nie na sali, ale na estradzie, gdzie orkiestra grała.

Trochę był blady i patrzył jak w tęczę w żonę, której ramię podał pan Miasojedow.

Myśmy siedzieli pod ścianą, czekając, aż muzyka nakaże

tan. Do mnie nachylił się tęgi, elegancki podporucznik dragonów ukraińskich i mówił:

— Nu, comtessa, dużo już przez wasze rączki przeszło gołubczyków w tym karnawale?

— Wot durak! — zaśmiał się dobrodusznie siedzący obok major. — Pyta: ile przez ręce!! Przez jej nogi — spytaj — ile przeszło chłopców!

— Da... da... — cieszyła się reszta panów oficerów, a major mówił dalej do mojej sąsiadki:

— Wasz margraf Wielopolski prawił, że dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić. Dureń był! ale z Polkami można grzeszyć, oj można...

Tymczasem pan naczelnik Miasojedow bawił panią Majewską.

— A wy, madam, dla kogo te różyczki zatknęli przy piersi? dla męża? Ot zmieniły się czasy! Dawniej ona miała bransolety, a on kwiaty dla niej niósł — teraz ona niesie kwiaty, a on ma bransoletki na rękach...

Pani Majewska milczała. Stali tuż pod estradą, gdzie żandarmi trzymali pana Majewskiego.

— Stroiłaś go, madam, w rogi — może nie? aż go kto inny w co innego ustroił. A wiesz ty, barynia, jaka jest różnica między jeleniem a mężem? Tyla, że jeleń przecież czasem rogi zrzuca...

— A między świnią a człowiekiem, bydlaku, wiesz, jaka jest różnica?! — spytał nagle groźny, zdławiony głos pana Majewskiego.

— Biej w mordu! — odpowiedział bez gniewu pan naczelnik, zwracając się do żandarma na estradzie.

I rozległ się huk policzka, który by długo dzwonił, gdyby nie to, że zaraz muzyka uderzyła w cynele i skrzypce i pary poszły w tan, nie patrząc na zeszkarłatniałe twarze państwa Majewskich.

Na przedzie tańczyła ona z panem naczelnikiem.

Coraz bliżej przypatrywał się jej różom pan naczelnik, na piersiach przypiętym.

— Dla czego nie ma dekoltaż? — pytał. — Pokaż, madam, czy Polki mają równie ładne piersi, jak nasze krasawice rosyjskie...

Zaczął się szamotać ze stanikiem pani Majewskiej — purpurowe róże upadły na ziemię, do ich nóg, i w tej chwili ciężki pupit przeleciał wichrem nad naszymi głowami i upadł — także do ich nóg — na róże.

To pan Majewski skutymi rękoma go cisnął.

— Biej w mordu!! — powtórzył pan naczelnik do żandarma — i tak ciągnął się bal przez całą noc, aż do białego mazura. Przez całą noc, do białego mazura, stał na estradzie pan Majewski, między czterema żandarmami, patrząc w żonę jak w obraz — a raz po raz, w chwilach gdy muzyka przestawała grać, powtarzał się stereotypowo rozkaz pana naczelnika, bezgniewny:

— Wal w mordę!!

I żandarm walił — aż nastał świt.

W trzy dni po tym balu odbył się pogrzeb pani Majewskiej. Mówili, że przeziębiła się na balu w Łomży — i pewnie. — Zimno było w ratuszu i okna źle się domykały.

Akuratnie gdy kondukt ruszał na cmentarz, ruszał też w podróż i pan Majewski — bliżej trochę, bo tylko do petersburskiej pieresyłocznej tiurmy. Stamtąd zaś do samarskiej gubernii.

Bardzo mi tych róż purpurowych żal, co na sali w Łomży podeptano. . . . .

. . . .

Ksiądz Brzózka płakał.

Wielkich, połyskujących w ogniu łez nie ocierał nawet z bladych policzków.

Może i on żałował... tych purpurowych róż, które w Łomży podeptano na sali balowej...?

— Panienko! — ozwał się drżącym głosem Wilczyński — a nie strzeliłaś wówczas w łeb żadnemu z tych psów?

— Nie — odparła piękna panna, utkwiwszy w niego swoje obce, obojętne oczy.

— Zresztą po co? — uśmiechnął się dziwnie Tournelle. — Pierwszy człowiek żył też między bydlętami tylko, i nazywał to sobie rajem...

— Ha no, nawet bogowie wśród bydląt się rodzili... — uśmiechnęła się panna, choć jej oczy pozostały bez uśmiechu. — Misteria niesłychane i cuda nieprawdopodobne przy bydlętach właśnie miały miejsce.

— Tak, mościa panno! ale trzeba być bogiem na to, aby w takim towarzystwie nie stać się również bydlęciem.

— Nie — zaprzeczył ksiądz Brzózka. — Trzeba tylko ani chwili nie przestawać wierzyć, że przeznaczeniem Polski jest: odrodzić się na takich warunkach, na jakich rodził się Bóg.

Bydlęta mają strażować nad tymi misteriami narodu.

Marzyliśmy może, cudnie, płomiennieśmy marzyli, jak dzieci, karmione baśnią, od młodu, królewską, że nad tymi misteriami narodu, nad kolebką Ojczyzny, archaniołowie o skrzydłach dawnej husarii pancernej strażować będą, z palmami męczeńskimi w dłoni — rycerze o złotych brzeszczotach — że króle wstaną z cynowych trumien, zadziwieni, i przyjdą patrzeć na cud dokonany bez nich! tymczasem... bydlęta tylko strażować mają nad naszym odrodzeniem. Upokorzeni się czuć będziemy w dumie naszej, związanej tak silnie jeszcze z archaicznymi pojęciami przeszłości, gdzie się nic nie działo bez surm, bez fanfar, bez koronacyjnej pompy — ale przez wszystkie przejść mamy bramy widoczne, zanim przejdziemy bramę zwycięstwa...

Trzeba się wyzbyć wiary w archanioły o skrzydłach husarii — w rycerze o brzeszczotach złotych — w króle zadziwione, że cośkolwiek się stało bez ich wiedzy i woli.

Wśród bydląt znalazł się naród, z którymi nie może być komitywy — i wśród bydląt przyjdzie mu znosić cegły pod nowy dom i ostrzyć cicho miecze...

I nigdy Polska, zamknięta z bydlętami, nie nazwie zamknięcia tego rajem, mimo wszystko, czym by ją przejednać chciano . . .

Mówił Brzózka, jakby czytał z jakiejś książki o zżółkłych, zużytych kartkach, świętszych od ewangelii, bardziej tajemniczych niż Zaratustra.

— A szlachta? — spytał niespodzianie Szczuka, któremu dawno pytanie to cisnęło się na usta.

— Szlachta? Na kartoflane frasunki dalej choruje. Płakała długo nad zwyrodnieniem narodu, że odrzucił amnestię kwietniową, teraz płacze jeszcze nad odrzuceniem układów sierpniowych W. Ks. Konstantego.

Zważcie panowie, że W. Ks. Konstanty nawet mamkę Polkę wziął do swego syna.

Pan Paweł Popiel chciał go skwitować... za mamkę... i zaproponował szlachcie polskiej, aby orężnie dopomagała carowi do stłumienia rebelii.

— A panowie magnaci? a kler? a lud? — zapytał Zubowicz.

— Pięćset osiemdziesiąt dziewięć adresów wysłano do tronu, wiernopoddańczych. Całe duchowieństwo katolickie w Wilnie stanęło szeregiem na ulicy z krzyżami i chorągwiami, aby witać przejeżdżającego Najjaśniejszego Pana, i prażone słońcem lipcowym stało od rana do południa, a Najjaśniejszy Pan przejechał galopem i głowę od nich odwrócił. Ksiądz Zauśnicki po rosyjsku kazania miewa w kościele panien Benedyktynek w Mińsku. Chłopi w samym Królestwie 98 powstańców wydali władzom rosyjskim. Nawet kochanka pana Margrabiego Wielopolskiego, hr. Antonina Błudow, chlebem i solą przyjmowała Murawjewa na dworcu...

Mawiał pan margrabia ongiś o frasunkach szlachty, że kar-

tofle. Przeszedł teraz cały naród na kartoflane frasunki, nastała ich doba uniwersalnie.

— To nic, to nic... — zakrzyknął milczący zwykle Wilczyński. — Budujemy dom — znosimy cegły, kamienie i wapno — a od czasu do czasu musi nam ktoś polać wodą zimną dłonie i wapno i cement. Prawda, księże-dowódco?

— Tak, drogi! Budowa każda składa się z elementów sprzecznych, z najtwardszych i najpłynniejszych — z żelaza, hartowanego w ogniu, i z wapna, rozcieńczonego wodą. Nie szkodzi!

Dla nas dziewięciu skończyło się może wszystko z chwilą nastania „kartoflanych" frasunków — minęły frasunki płomienne — ale i te kartoflane, te nędzne frasunki, to tylko bydlątka, które strażować mają nad kolebką Ojczyzny.

I położył Brzózka dłoń na ramieniu Wilczyńskiego — jakby chciał rzec: „za te słowa, co padły z ust twoich, ty jeden będziesz ze mną w raju — w najwyżynniejszym raju ofiarnej męki i ostatecznego poświęcenia".

Tymczasem świt zaczął mrugać płowymi powiekami między koronami drzew. Sylwetki tych koron stawały się jakby ciemniejsze — dlatego, że bielało niebo, mleczywem słonecznym.

Piękna panna wstała, patrząc w tę biel.

— Trzeba mi jechać. Żegnajcie, panowie.

Skinęła głową, ręki nie podała nikomu i podeszła do konia, aby mu ściągnąć popręgi.

Zapatrzyli się w nią i serca harde ścisnęły im się żalem — ludzkim, serdecznym żalem — za Pięknem życia odchodzącym, za tajemnicą ócz kobiecych, za słodką pychą jej niełaskawych, nigdy niecałowanych ust — i — może — za ostatnim echem, dobiegłym z Ojczyzny.

Zbliżyli się do konia wszyscy, machinalnie i trzymali lice, grzywę, lub strzemiona. Jak królewnie, która do palankinu zasianego klejnotami wsiąść ma i jechać kapryśnie na białej wielbłądnicy, w pustynię daleką — marzenia swoje niedo-

stępne, chimeryczne gonić i rachować gwiazdy blednące na niebie, żując słodkie daktyle przy tym, najsłodszymi ustami.

Po chwili znikła w poświacie rannej, która była równie liliowa jak wieczorny zmierzch.

Jej zapewne i tej poświacie lliiowej i srebrzystej swojej rusznicy śpiewał teraz Bojanek, na nutę niezmiernie uroczystą i tęskną: „Na Starym Mieście przy wodotrysku, Pan policmajster dostał po pysku"...

Stanisławowi Markowi Walewskiemu, przepraszając Go za tamte kartki, prosząc o względy łaskawe dla tych.

M. W.

IV

POLSKIE ŁZY

Kleryk szedł na pobojowisku, zakręcając czasem młyńca, jak gdyby go nagle ogarniało szaleństwo i w taniec się puścić zamierzał, do karabinu przytulony. Czynił chwilami pas niespodziewane, posuwiste jak w lansjerze — wówczas gdy noga poślizgnęła się na kałuży krwi, i zaraz po tym w lustrzaną, rubinową jej taflę pakował bagnet, niby sztylet w rozwarte serce, i podparszy się na nim dla złapania równowagi, szedł dalej, ciągle zawracając — w kółko obmierzłe, w ściśle odmierzony promień kieratu. Jak wskazówka na zegarze, chodził wokół i zatrzymywał się co pewien czas na jakimś znaku, na pałaszu złamanym, na bladej, trupiej twarzy, na zmasakrowanej dłoni, na czapce rozdartej, w ziemię wgniecionej. Szedł, nie bardzo widząc, bo krew zalewała mu oczy — dojrzał jednak starego kosyniera Ziębę, przerzuconego przez kłodę, który dziwnym trafem padł twarzą na kosę Bojankową, na zardzewiałą tulejkę, jak gdyby po śmierci świadectwo chciał dać, że kosynierem był polskim, co jeszcze pod Grochowem walczył. O niego wsparty, spał snem wiecznym Bojanek. Zabiła go kula widocznie w chwili, gdy nabijał broń — bo w obu rękach trzymał swój srebrzysty sztuciec, w lwie mordy rzeźbiony, i dumał nad nim prawie że radośnie. Tro-

chę dalej leżał Zubowicz, ze strasznie zdruzgotaną głową, a obok niego Tournelle, zawadiacko na trawie rzucony, zdawał się jeszcze naciągać Szczukę, który kurczowo zaciskał rękę dookoła przebitej gardzieli. Poprzez chude, węzłowate jego palce płynęła krew czterema cienkimi strugami, tworzącymi jak gdyby purpurowe żyły na ręku, rozdrobnionymi w dziesiątki jeszcze cieńszych strug — co czyniło wrażenie, że ręka jest prześwietlona — jasno wykazująca swoje anatomiczne detale.

Kleryk chodził pośród nich i patrzył. Oczy jego stawały się jak dwie ogromne czarne rany na białej twarzy, niepomiernie wielkie. Jęknął ktoś — więc odwrócił się i dojrzał, że zza krzaków czołga się ku niemu Symcha, jedyny Żydek z ich oddziału. Czołgał się, jak gdyby inna jakaś, niewidzialna siła wlokła płachtę jego ciała, zaczepiając o pnie i krzaki. On sam zdawał się nie brać w tej operacji żadnego udziału.

— Ze sześć kul dostałem — rzekł pośpiesznie — dobij mnie, bracie! Zdechnę wnet, a nie chcę, aby mnie Moskale żywego dostali...

Kleryk chwiał głową.

— Dobij mnie!

— Chodź, poniosę cię — zdecydował kleryk.

Dźwignął go nadludzkim wysiłkiem i z tego wysiłku bluznęła mu znowu krew z rany czołowej — ale niósł Symchę — nie wiadomo po co i dokąd.

— Dokąd? — jęczał cicho Żyd.

— Ksiądz Brzózka, nakazawszy rozsypkę, powiedział, aby iść w nasz jar, pod nasz dąb. Musieli tam dojść on i Wilczyński, bo nigdzie tu nie leżą — a tamci wszyscy zabici...

— Nie dojdziesz, bracie — mruczał Żyd coraz nieprzytomniej — daleko jeszcze... nie dojdziesz... Przyjdą Moskale i wezmą mnie i na mękach wyznam wszystko, zdradzę, gdzie nasza kryjówka, gdzie ksiądz Brzózka i tamten... Dobij mnie!

Nie chcę zdradzać, a na mękach wiem, że zdradzę... Dobij mnie!

Bełkotał już.

Raptem rzucił go kleryk na ziemię i, przyklęknąwszy nad ściętym drzewem, złożył się do strzału.

— Co się stało?!

— Idą kozacy.

— Dobij mnie! — błagał Symcha uparcie — a jeśli nie chcesz, to powiedz księdzu Brzózce... niech zmieni... zaraz... kryjówkę, abym go nie wydał... niech...

Padł strzał, pierwszy, mocny, ten najmocniejszy zawsze, po którym inne wydają się tylko echem, kołatką dziecinną, przesypywaniem grochu z rondla do rondla.

Zagrało w lesie. Huk poszedł poprzez smug leśny — odbił się gdzieś hen! o Benewiską górę, zanurzył się w mroźny Bug i wrócił jak odzew litanii kościelnej.

Kleryk nabijał karabin i strzelał — znowu nabijał i znowu strzelał, ale coraz powolniej, coraz niedbalej. Do kogo strzelał i po co, nie miał już właściwie pojęcia. Ręce mozoliły się automatycznie — nabijały, celowały, naciskały kurek, a źrenice zaczęły walczyć z opadającymi powiekami i patrzeć w niebo, już najzupełniej obojętne robocie rąk.

Chwilę chwiał się w ekstatycznej pozie "św. Sebastiana" Guerciniego, podając Bogu miast dwóch strzał: karabin, wreszcie runął na ziemię, oparszy głowę o ścięte drzewo jak o klęcznik.

Żyd charczał.

Kozacy zbliżyli się ostrożnie. Mieli błękitne kaftany kubańskiego pułku i szerokie papachy. Tylko w konwoju W. Ks. Namiestnika nosili kubańscy kozacy żółte czerkieski, aby kokietować nimi Warszawę, pamiętającą kochane, świetne pułki z 31-go, z czasów W. Ks. Konstantego Pawłowicza...

Ci nie potrzebowali nikogo kokietować. Obejrzeli dwóch leżących, obejrzeli pobojowisko.

— Któren jest pop? — spytał ze złością asauł.

— Nie wiemy, sutanny dawno nie miał...

— Ocucić tego tam — może nam powie, czy między trupami jest Brzózka.

Kozacy rzucili się na konającego Żyda — wlali mu gorzałkę w otwarte usta, chlusnęli wodą z manierki na głowę.

Symcha otworzył oczy.

Przed nim leżały szeregiem trupy Bojanka, kleryka-profosa, Zięby, Zubowicza, Szczuki i Francuza.

Patrzał jak przez zielonawą mgłę na ów szereg twarzy milczący i słuchał, jak spod tej mgły pyta raz po raz obcy, rozzłoszczony głos:

— Któren jest Brzózka?

Kiwnął półprzytomną głową przecząco.

— Nie ma tu Brzózki?

— Nie.

— Gdzie Brzózka?

Żyd milczał.

— Gdzie Brzózka? — powtórzył asauł.

— Nie wiem... Uszedł... — wykrztusił ranny.

— Aha, nie wiesz?! Ale ja wiem, że macie tu w lesie kryjówkę. Pewnie się tam wasz bohater zaszył...

Ranny potrząsnął desperacko głową.

— Słuchaj, łotrze! z tym postrzałem, co masz, możesz jeszcze żyć sto lat. Jeśli mnie do kryjówki waszej zaprowadzisz, to puszczę cię wolno — dam cię nawet do lazaretu. Jeśli zaś nie, to... no to śmierć będziesz miał trochę ciężką.

Ranny ciągle przecząco trząsł głową.

W bólu fizycznym zaskorupiały, nie wyobrażał sobie, aby mógł istnieć ból większy od tego, który w tej chwili ciało mu skręcał upiornym bezmiarem. Lecz momentalnie — w odpowiedzi — uczuł okropność jakąś nie do uwierzenia — straszność, która w jednej sekundzie zwielokrociła jego dotychczasowy ból do tysiącznej potęgi — zdawało mu się, że pękła

czaszka od tej okropności, tymczasem tylko białe zęby zaczęły z ust jego lecieć, jak migdały.

Zrozumiał, że rozmiar bólu ludzkiego fizycznego nie ma granic — i że nawet od tego stopnia męki może przyjść stopień wyższy.

Cynowa słoność krwi zasmakowała mu — zamamlał językiem i zaczął wyć jak pies.

— Mołczy, skatina! — ryknął asauł. — Pokażesz, gdzie kryjówka?

Jeszcze raz zebrał w sobie Żyd ostatki woli, ostatki bohaterstwa i — boleśnie zaprzeczył.

Wówczas po raz wtóry zatańcowały miliardy gwiazd pod jego powiekami — paląca żerdź bólu wwierciła się błyskawicznie w mózg po raz wtóry — jeszcze straszniejsza, jeszcze bardziej nie do uwierzenia, a kurcz zacisnął bezzębne szczęki.

— Pokażesz?

Mdlał. Więc znowu chluśnięto mu wodę w krwawe oczy.

— Pokażesz?! — pytali.

Tedy skinął głową, że tak.

Nie wiedział już, że zdradza — nie wiedział już nic zgoła — jak zwierz tylko chronił się przed owym piekielnym, szatańskim bólem, odpowiadającym na każdorazową jego przeczącą odpowiedź.

Nie chciał, nie mógł już przeczyć, jeno myśl wytężał w kierunku żądania, nie zdając sobie sprawy, czy potrafi ich poprowadzić. Przez zasłonę krwi spojrzał w szereg białych, przyjacielskich, kochanych, miłych twarzy, które leżały u jego nóg, w śnie wiecznym pogrążone, a potem podniósł je z przerażeniem na twarze kozackie.

— Którędy iść? — spytali.

Głowę płonącą bólem zwrócił ku lasowi na prawo.

Podnieśli go i poszli w las na prawo.

— A teraz? — spytali przed siecią ścieżyn.

— Koło złamanego świerku... — mruczał niby pacierz przez sen.

— A teraz? — pytali w gąszczu.

Rozejrzał się. Chciał powiedzieć, z całych sił pragnął dać odpowiedź, ale na mózg padła jakaś zasłona, tak gęsta, że przestał widzieć, przestał rozeznawać.

Zamajaczyło mu się nawet nieprawdopodobieństwo warsztatu ojcowskiego — choć świadom był, że to majak.

Znowu woda chlusnęła mu w oczy i mokra szmata miłym chłodem owiała mu łeb. Wtulił się w nią, z rozkoszą jakąś niewysłowienie straszną — zaszył się jakby cały w to chłodzące dobro, przyszłe nie wiadomo skąd, i nie pragnął już nic, tylko ów chłód zatrzymać na sobie, ów niebiański miłosierny chłód.

— A teraz? — powtarzał okropny głos nad nim. — A teraz?

Czego chcą od niego?! Jakie „teraz"?

Znowu woda chlusnęła. Cicho, łapczywie otworzył usta, krwawą ranę rozdartą od ucha do ucha.

— A teraz? — powtarzał głos.

Zebrał siły i wyrzucił ze siebie — raz na zawsze chcąc się od udręki uwolnić, raz na zawsze spocząć na rusztowaniu zagadkowej, męczarnianej ciszy:

— Polanka... potem przy pniaku na lewo... ścieżka... potem ogromny dąb... dziurawy... nad jarem...

— A w jarze?

— ...podkop... pod dąb...

Nieśli go, już nie wiadomo na co, bo zapadał w agonię. Może jeszcze powątpiewali, czy nie skłamał wszystkiego, aby ratować dowódcę, i dla przyszłej zemsty go nieśli.

Chyłkiem skradali się.

Minęli polanę — trzy pniaki — ścieżkę za trzema pniakami i istotnie stary, rozczapierzony dąb zobaczyli nad wyrwą.

W milczeniu najgłębszym asauł obstawił dąb kozakami, a sam z resztą żołnierzy zsunął się w jar po osypisku.

Bzyczące komary, pracowicie gospodarujące pszczoły wydzwaniały południową, parną godzinę. Szkaradne muchy zaczęły obsiadać zmasakrowaną twarz leżącego pod dębem człowieka i wysysać krew z otwartych jego oczu i ust.

Był to także kwiat dla nich, szczególny, biały, pełen purpurowego miodu, wyszukańszego, niż wszystkie miody koniczyn i lip.

Nagle zakotłowało się w jarze — padły dwa strzały jak eksplozje — coś zatętniało w starym dębie, jakby ożyło w nim serce — i z dziupli ogromnej wypadł ksiądz Brzózka.

W tej chwili kilkanaście gardzieli krzyknęło:

— Pastoj, miatieżnik!!! — i kilkanaście rąk schwyciło go za dłonie, za plecy, za kark i przygniotło do ziemi.

Równocześnie prawie z jaru zaczęła wychodzić reszta kozaków, pnąc się triumfalnie po zboczu i prowadząc wśród radosnych pokrzykiwań Wilczyńskiego.

Obaj byli ranni: Wilczyński miał zgruchotane kolano, Brzózka rozrąbany pałaszem łeb.

Skoro przywlekli do dębu Wilczyńskiego i ten ujrzał Brzózkę między sołdatami, zbladł.

Przez chwilę pasowała się rozpacz z maczugową rzeźbą jego prostych, spokojnych rysów.

— Ten zdradził—rzekł głucho, patrząc w konającego Żyda.

A Brzózka wskazał oczyma zmasakrowaną twarz leżącego, bezprzytomne źrenice, wyłuszczone z zębów szczęki, złamany nos...

— Nie on zdradził, towarzysz miły i dobry. Nie on. Męka jego zdradziła nas. Podaj mu rękę, drogi...

Żyd otworzył szerzej oczy na dźwięk może znajomego głosu. Patrzył w ich twarze i widać było, jak jego źrenice, mętniejące w krwawym osopleniu rzęs, czepiają się każdego szczegółu ich rysów z nadludzkim natężeniem — lecz powoli krwa-

wa rosa zmogła powieki: opadać zaczęły, noc zagarniając wiekuistą, wchłaniając resztki uświadomionej rzeczywistości i mieszając ją w kole bezprzytomnych widziadeł.

W huku skrzydeł muszych uczuł, jakby ktoś dotknął obu jego rąk, ciepłym, serdecznym, bratnim dotknięciem — pokaleczonymi ustami spróbował się uśmiechnąć do tych rąk, które mu niosły pieszczotę wyzwalającą, i skonał, obnażywszy w tym uśmiechu dwa rubinowe półkola posiekanych obcasami szczęk.

Wówczas stojący w głupawym zadziwieniu kozacy szarpnęli ramiona Brzózki i Wilczyńskiego i powiedli ich na polanę jasną od słońca, potem znowu w gąszcz i wreszcie z lasu na niezmierną równinę pustą.

Ponieważ jednak obaj powstańcy padali co krok, asauł wydał rozkaz, aby ich cofnięto z powrotem w las, a dwóch sołdatów aby skoczyło do wsi po wóz.

Cofnięto ich akuratnie na miejsce pobojowiska. Krew wsiąkła już z kałuż i nikt by się nie domyślił, czym pożywiono tu ziemię — gdyby nie trawy, które strzelały pióropuszami w niesamowitym zeszkarłatnieniu i nie rubinowo ubarwione liście fiołków i poziomek.

Brzózka mdlał raz po raz. Usadowiono go za rozkopanym, pustym mrowisku, pod drzewem.

— Księżę dowódco!!! — głucho zawołał Wilczyński.

Bzrózka otworzył oczy i uderzył nimi niespodzianie w... „armię" swoją, która leżała u jego nóg.

Leżeli wszyscy, tak jak ich Żydowi sprezentowano, równiutko, jakby na komendę:

— Szóstka front! formuj się!!!

Rewia śmiertelna, ostatnia...

— — — — — — — — — —

Fiałkowe cienie latały jak motyle po żłobieniach ich twarzy. Czasem świetlana cętka blasku słonecznego przedzierała

się przez namiot liściasty i rzucała pozór drgnienia na zastygłe twarze — podnosiła niedomkniętą powiekę, lub wyszukiwała kroplę krwi — jedną — specjalnie jedną — i czyniła z niej niespodziany, magnacki klejnot. Daleko, w Sarnakach — czy jeszcze dalej, w Siedlcach może — a może jeszcze dalej, aż w Warszawie, biły wielkanocne dzwony, jakby dźwięczne, pełne kryształów łodzie puszczono na falę i te się rozkołysały, trącając kryształami — tłukąc co najcieńsze, w miliony rozpryskujących się tonów.

Echo leśne porywało te głosy i niosło je, złośliwie przekręcone, powtarzane do utrapienia, skandowane — aż je rozbijało o pierwszy lepszy buk — z furią — znowu się biorąc do napływających wciąż i wciąż.

Cały las rozwielmożnił się szaleństwem wiosny — śpiewało wszystko i grało w nim radośnie, obojętne śmierci, stojącej z kosą spracowaną na jego rubieży.

Przyroda to wielka pani, która łaskawa jest, ale serce ma z azbestu. Kokietuje niejednego, nieraz uraduje uśmiechem i darem uprzejmym, ale nie współczuje nigdy i nikomu. Zasadę Zamoyskiego wyznaje: „brać, a nie kwitować". Wyrzucone z siebie istnienia ludzkie, zwierzęce i roślinne bierze z powrotem milcząc — i nie kwituje nigdy i nikogo.

Z wilgotnych brzegów Bugu nadleciała ważka-świtezianka, cała mieniąca, jakby w akwamarynie umaczana, i po długich wahaniach i kołowaniach siadła na ustach kleryka. Machała czterema skrzydełkami, delikatnie, korpusik mając nieruchomy i czyniąc przez to wrażenie, że nie ona skrzydełkami porusza, tylko oddech śpiącego. Potem złożyła skrzydło jedno na drugie i tak leżała na ustach kleryka, jak mały, misterny krzyżyk z zielonej emalii, o błękitnych przecznicach.

Ksiądz Brzózka patrzył w ten krzyżyk. Troił mu się on — troili mu się leżący — troili mu się wszyscy ci, co spali u jego nóg, front czyniąc ostatni.

Nie chciał wierzyć, że jest ich tylko sześciu — i że wszyscy sześć są już nie z tego świata.

A gdy drgnęła ważka-świtezianka, jakby do odlotu się gotując, klęknął raptem i nachylił sine usta do niej. Może chciał ucałować w niej to, co odchodzi na wieki, może chciał krzyżyk emaliowany ucałować, znak, który mu był symbolem o tyle, o ile jest symbolem poświęcenia i męki. Ale ważka odleciała.

Wówczas nachylił się nad każdym trupem i każdemu ucałował usta, krótkim, twardym pocałunkiem.

* * *

Nadjechał drabiniasty wóz. Wysadzono nań Brzózkę i Wilczyńskiego, żołnierze otoczyli ich kosmatym pierścieniem swych koni i jęli poganiać. Ziemia była wilgotna, pulchna, jak świeże pieczywo — i tym wilgotniejsza i pulchniejsza, im się bardziej zbliżano do ramion Bugu i Sarny.

Asauł kazał konwojowym jechać na przełaj do Sokołowa, gdzie stała ich dywizja i gdzie pragnął się pochwalić dowódcy zdobyczą. Tedy wpław przebyli Sarnę i pognali lekkim truchtem ku Sokołowowi, omijając sadyby chłopskie, z uwagi, że chłopi mogliby spróbować odbić „apostoła podlaskiej ziemi".

Tą ziemią podlaską — ziemią zdrajców, jak Radziwiłły, — ziemią tragicznych, cudnych miłośnic, jak Halszka z Ostroga — ziemią najpotężniejszych zapasów wyznaniowych i najcichszej zadumy — jechali w południowym słońcu, pijani radością i krwią, podśpiewując cyniczne, żołdackie piosenki.

Tylko dwaj powstańcy milczeli. Czasem otwierali oczy, gdy im zaszumiała jaka woda lub jaki las i wówczas długo — długo — jakby na wieczność obraz zagarnąć pragnęli, patrzyli w daleką, modrą wstęgę Bugu, wygiętego sierpem śliskim i błyszczącym, i na upłazy wzgórz. Spojrzeli w przelocie na drewniany sarnakowski kościółek — później na zadymiony

Drohiczyn podlaski, oderznięty klingą rzeki od miasta Drohiczyna — na stare grodzisko, sterczące wysoko ponad wodą, czarnym, spróchniałym zębem — tworząc jakby pędzącą grupę konia z jeźdźcem: dawny herb miasta, nadany przez Zygmunta — na mury kolegium pijarskiego — na promy, przewożące wielkanocne „święcone", uganiające jak żuki po Bugu, jak mewy swojskie.

W głębi, na lewo, miotały się wiatraki Chlebczyna, tego Chlebczyna, co się dlatego tak zowie, że chleba nigdy tam prawie chłop nie widzi — mimo że wiatraki miotają się zaciekle.

(Och tak!... są rycerze, co walczą tylko z wiatrakami, i są wiatraki, co walczą tylko... z wiatrem. Zdawałoby się, że wytężenie wszelakie jest raczej w stosunku odwrotnym do treści pracy i do jej owoców).

Zieleniły się łany seledynem. Na gładkich, wymuskanych kobiercach jaśniała miejscami plama szczyrki piaskowej, tak jakby ktoś nieuważny z pracowicie zahaftowanego dywanu wypruł kilkadziesiąt krzyżyków i zostawił kanwę pustą, lub jakby wylał kadź ochry, tu i owdzie, na szmaragdowe puchy.

Bociany leciały nad niwą, a wzdłuż ich lotu sunął po ziemi ich cień, wolniejszy, niż one, szafirowy na rychlikach — brunatny na piasku — wznoszący się gdzieś gdy się wznosił grunt, i opadający, gdy grunt opadał. I tak leciały ptaki żywe i ptaki-sobowtóry — melancholijnie bardzo, nadaremno próbując się przegonić.

Człowiekowi się zdaje, że święto jest na to, aby on odpoczął od pracy, od siania, orania — od przyrody. Tymczasem święto jest na to, aby Przyroda odpoczęła od człowieka.

Dzień to jej rozpamiętywań królewskich — jej samotnego szaleństwa, jej dostojnego, nienaruszalnego skupienia.

Kto wie, co się wówczas waży w jej łonie — jakie się tworzą plany olbrzymie, rodowi ludzkiemu częstokroć wrogie — jakie ją wzdymają orkany żądz — jakie galwanizują dresz-

cze — w jakie się ona wsłuchuje zatopione dzwony — pogrzebane miasta — spopielałe serca, ludzkich nadziei i tęsknot zmarnowane okruchy... Jakie się jej śnią wielkoludy o kamiennych toporach — dyluwialne potwory, zgarnięte już przez ocean — słonie białe, których jeden kieł większy od całego słonia dzisiejszego — orły o dziobach jak katedralne wieże...

Kto wie, co się jej marzy w dzień samotności i królewskiego rozpamiętywania...?!

A drabiniasty wóz, otoczony kosmatym pierścieniem koni, jechał ciągle i zbliżał się do Sokołowa.

Posłany naprzód po rozkazy kozak wrócił i oświadczył, że mają zajechać nie do samego Sokołowa, ale do „starego dworu", gdzie zakwaterowany był pułkownik i jego sztab.

Dawny dwór państwa Kobylińskich stał niezbyt od miasta oddalony. Patriarchalnie opłotkowany lipami, wywatowany kiełkującym winogradem, białymi kolumienkami ganku się śmiejący — miał fantastyczny gołębnik na prawo wjazdu, a duży, dobrze okratowany, stary świerzeń na lewo.

Droga zawracała ku niemu gościnnie, równa ładnie osłonięta dziką gruszą i brzozami. W tym wszystkim był jakiś ład, spokój, dobry ton, beztroska swoboda, zrównoważona szczęśliwość.

A na dziedzińcu stały w kozły poskładane karabiny — manierki i szynele żołnierskie leżały po trawnikach i włóczyły się złowróżbne postacie o kanciastych mordach, dwóch zaś szyldwachów spacerowało przed białymi kolumienkami, z bagnetami na ramieniu.

(Bywa tak czasem, że się niezupełnie wiążą szczegóły obrazu ze sobą...)

Zajechał wóz drabiniasty przed dworek i na jego turkot wypadło z ganku kilka figur umundurowanych, popstrzonych złotymi bulionami, epoletami i szamerunkami. Co prawda w stosunku do świetności mundurów, niedbałość garderoby

tych panów była wprost zdumiewająca, ale czego nie wyrażała, chwilowo szwankująca, garderoba, wyrażały twarze dostojne pomienionych figur i groźny mars ich czół.

Pułkownik Zankisow wstał widocznie z poobiedniej drzemki, bo mundur miał rozpięty, a blado-zielone szelki zwisały mu aż do kolan, nieco kombinowanym deseniem.

— To „on"? — spytał, nachyliwszy się nad wozem. — Żyw?

— Żyw, wasza świetłost' — zakrzyknął z dumą asauł.

— Panowie! — rzekł wówczas patetycznie Zankisow, zwracając się do swego roznegliżowanego sztabu. — Oto leżą przed nami ostatni z tych, co chcieli robić Historię, a zrobili: farsę. Nam przypadło w udziale spuścić kurtynę na akt tej farsy ostatni i... najgłupszy.

Następnie zwrócił do sołdatów swą suchą, wcale przystojną twarz i mniej patetycznie dokończył:

— Strzec mi tych, jak oka w głowie. Do miasta ich nie odwieziemy. Ten bandyta był wikarym w Sokołowie, więc gotowe Lachy awantury robić. Zamknąć obydwóch w tym lamusie tam, opatrzyć drzwi należycie i straż mocną postawić. Do Sokołowa ich powieziemy, ale już... na szubieniczkę.

* * *

Przeto w starym świerzeniu zamknięci, spędzali ostatnie godziny. Rany zgoiły im się szybko, jako że słońce zaglądało coraz radośniejsze przez podłużne, wysokie, zakratowane okna i coraz wonniejsze, świeższe powietrze napływało zza potłuczonych szyb.

Zaplątała się w kratę gałąź jabłoni i rozkwitła na brudnej, nieotynkowanej ścianie jak cud. Za nią wpadły i pszczoły, zirytowane jej przygodą czy lekkomyślnością, i objadały ją, chłepcząc niewidzialny miód z tajemniczego dnia. A pontyfikowały uroczyście, bo zdawało im się zapewne, że one jedne

posiadają tajemnicę kwiatu różowego, jedne wiedzą o lepkim, złotym, słodkim jego skarbie. Czasem wpadł ich samiec siwoomszony, gruby, niezdarny, prawie rozdzierając czeluści kwiatu swą brutalną, sadystyczną żarłocznością — czasem zakołysał się witeź żółty — ostrożnie siadając na zrębku wybitego szkła i machając swą ciemnoniebieską przepaską, aż go spłoszył inny motyl, liliowo-biały, lub potrącająca każdego zaaferowana pszczoła, lub pełna wyrafinowanej elegancji zdunka, obciśło ubrana.

Tak się to zapracowywało wszystko, goniło, objadało, we framudze okiennej.

— Chyba nie doczekamy chwili, kiedy na tej gałęzi jabłka dojrzeją... — zauważył raz Brzózka, bez radości, ale i bez smutku.

— Całe szczęście, że obydwaj nie bardzo jabłka lubimy! — uśmiechnął się Wilczyński.

— Ot wiosna kochana! — cieszył się Brzózka i spochmurniał nagle. — Akurat cztery lata temu, szedłem w Warszawie przez Saski Ogród. Wiosna panowała już cudna, jak dziś — prześwietlona zieloność aż rwała oczy. Niech gadają co chcą, a przecież nasza zieloność jest najpiękniejsza, choćby przez kontrast z niebem, które jest ciemniejsze i smutniejsze, niż niebo na południu!

Dzieci bawiły się na trawniku. Ze trzydzieści maleństw biegało i siedziało, a wszystkie były w żałobie. Pomiędzy nimi dziewczątko jedno wyróżniające się chorowitą bladością, również czarno ubrane i trzymające na rękach lalkę... w żałobie.

Odtąd, ilekroć zobaczę wiosnę, naszą polską wiosnę — widzę tę bladą, smutną dziewczynkę w czarnej sukni, z lalką w żałobie na ręku.

Mnie się zdaje, że aby pokazać Europie, czym jest dla nas wrogi najazd i jakie napięcie tęsknoty do wolności — to nie mapy geograficzne trzeba było jej przedkładać — nie uniwersały groźne, nie skargi sromotne. Wystarczyło było panom dy-

plomatom pokazać w taki wiosenny poranek ową gromadę naszych dzieci, czarno ubranych, bawiących się poważnie i smutno lalkami, przystrojonymi w żałobę...

Boże mój! kto na Polskę patrzy twarzą w twarz?!?! Europa z wysokości stolców kongresowych — magnaci nasi z rynku rodowych giełd — szlachta z kolatorskich ławek — chłop z zazdroszczonej panu miedzy — Żyd z fanatycznie strzeżonego chederu lub propinacji — ksiądz ze swej ambony, na której przybity nie Chrystus, ale... skarbonka. — Któż na Polskę patrzy twarzą w twarz?! któż jej spojrzy w królewskie oczy, śmiało, z bliska, wejrzeniem synowskim?!

Chude, nierasowe ręce złożył Brzózka na kolanach i patrzył w jabłoń kwitnącą. Egzaltacja opadła z jego suchej twarzy — był w niej spokój rzeczy skończonych, rzeczy dokonanych, których już odwołać, ani odmienić, ani spotęgować nie można.

— Z wielu względów będzie dobre to krwawe pobojowisko dla narodu naszego — rozpoczął na nowo. — Hierarchia kościelna przekonała go, że z nim trzymać nie może: oderwana od niego potęga... czy małość; a szlachta wyrzuciła ze siebie po raz ostatni to co było w niej dostojne, co się jeszcze łańcuchem krwi wiązało z minionymi stuleciami, co jej dawało prawo nosić wyróżniający szyszak rycerski. Długo jeszcze byłaby chciała, w imię tych najlepszych, żyjących pośród siebie, przewodzić Narodowi i narzucać mu swoje pierworództwo — i oto padli wszyscy ci, najlepsi, tak, że nie ma już dzisiaj odskoczni dla jej władczych instynktów. Otrzebiła się niespodzianie, nie wiedząc — raz na zawsze. Zostanie od dziś łuska tylko z owocu żywota, a choć znajdą się niektórzy, co pustą łupinę wezmą za owoc — historia przejdzie do porządku i nad łupiną i nad amatorami łupin. Nasze powstanie było istotnie hekatombą szlachty...

— Tak się cudnie zaczynało wszystko, książę dowódco! Byłem na nabożeństwie w 61-ym, gdy buchnął nigdy niesły-

szany śpiew: „Boże coś Polskę" i takie zapanowało uniesienie, taki dur święty padł na lud, że nagle pan Markowski przewrócił się i skonał na rękach śpiewającego tłumu: serce mu pękło z uniesienia.

Słyszałem, jak mówił pan Leon Frankowski do formujących się pierwszych oddziałów: „Na co wam broń?! kijami zdobędziecie na Moskalach karabiny — karabinami armaty, a armatami Warszawę". Wszechnica Jagiellońska, mówili, posłała wrzeciono Szkole Głównej, gdy ta zdecydowała nie brać udziału w powstaniu... Co znaczył wówczas wspólny język? W partii Zaremby, oficer generalnego sztabu „Harap", czystej krwi Rosjanin, ani słowa po polsku nie umiał i do końca walczył bezimiennie o naszą wolność... Co znaczył wówczas symbol? co znaczyła sukienka? znak zewnętrzny? Młody Żydek Landy niósł krzyż na czele pochodu w Warszawie, kiedy pierwotnie niosący padł od kuli moskiewskiej...

I 90.000 ludzi — 176 dział umykało przed naszą ośmiotysięczną armią, nie mającą ani jednej armaty... Tak wspaniale szło!!! No i szlachcie znudziła się wojenka, przypomnieli się jej panowie bracia z 31-go i... zawróciła z drogi.

— Nie w szlachcie winy szukajmy, przyjacielu! Szukajmy jej tam, gdzie wskazał Traugutt, mówiąc, że powstanie bez ludu jest wojskową demonstracją. Przyjdzie czas, gdy lud uświadomiony wstanie znad pługów i przemówi sam... ołowiem... za siebie i za nas. Teraz na długie lata odpoczną ręce, aby pracowały mózgi, i wreszcie dowiecie się, jakim nonsensem był szlachecki paradoks: że budując w mieście uniwersytet, trzeba powiększyć... kryminały. Dopiero wtedy przestaną się Niemce kłócić z Moskalami, czy Wisłę nazywać knesebeckowską granicą dwóch cesarstw. Wróci Wiśle chwała wolnej, piastowej rzeki...

Gawędzili tak naprzemian lub zamykali się w sobie, ludzkimi dreszczami przedśmiertelnej trwogi wstrząsani, i patrzyli z coraz niklejszą tęsknotą na gorące słońce i kwitnącą jabłoń.

Dlaczego ich zaraz nie stracono bez sądu, na co komedię sądu odegrano z nimi? nie wiadomo. Dość, że w ciszy grobowej mijały im dnie — aż do 23 maja.

Obudzili się ze świtem, nawykli do tych snów krótkich, dorywczych. Słońce ledwo bieliło zębate szczerby szyb, ale zaczęło się rzucać z łapczywością na niebo, zagarniając jego nocną szarość, i byłoby świat napełniło po brzegi potężnym blaskiem, gdyby nie chmury, napływające jemu na złość i pośmiewisko. Choć dzień się czynił, niebo szarzało coraz bardziej i lekki deszczyk zaczął kropić, zamieniając się stopniowo w ulewę.

Wprost otworzyły się wierzeje niebieskie i, jak z kadzi, wylewały strugi wody ludziom na łeb. Około 10-ej zerwał się na dobitkę wicher okrutny i ulewę zmienił w powódź.

W tym szumie wichru i wody rozwarły się drzwi lamusa i w progu stanął oficer rosyjski i elegancki ksiądz.

Zrozumieli Brzózka i Wilczyński, że zaczyna bić na zegarze ich godzina ostatnia, więc piąte przez dziesiąte tylko schwycili z przemowy oficera — że... o godzinie pół do dwunastej... że proboszcz miejscowy umarł, a wikarych wywieziono dawno na Sybir, więc uproszono tego oto kapelana domowego hrabstwa Platerów, którzy właśnie na szczęście przejeżdżali przez Sokołów i nawet w tym oto dworze, zaproszeni przez pułkownika Zankisowa, popasają — że kapelan ten to wprawdzie Francuz, ale jako tako po polsku się wyjęzycza...

Wyszedł oficer i zostali we trójkę sami.

Elegancki abuś rozglądał się zderutowany po celce i wreszcie, starając się pogodzić salonową swoją wytrawność z przykrą misją, rzekł do Brzózki:

— W ciężkiej chwili zaiste spotykamy się, ale Bóg miłosierny pozwoli...

Przyglądał się paznokciom swoim, szklącym jak dziesięć lusterek na końcu wypieszczonych palców, potem przypad-

kiem spojrzał na brzydkie, żylaste, zniszczone ręce Brzózki i umilkł nagle, jakby piorunem rażony.

Takie ręce urągały wszelkim jego pojęciom o prawdopodobieństwie. Dobra i zadowolona z losu jego twarz, krąglutka, starannie wygolona, przypudrowana nad wierzchnią wargą i na brodzie, wyraziła tyle skonsternowanej bezradności, że rozbroiłaby najzaciętszego wroga. Stał ciągle, przekładając brewiarz z ręki do ręki, pięknie w safian oprawny brewiarz, na którym złocił się napis: A mon saint précepteur — Comtesse Louise Ożarowska". Spod nowiusieńkiej sutanny wyglądały niepokalane lakierki, z dużą srebrną klamrą, i cienkie jedwabne pończochy. Wiała od niego lawenda i słodki zapach wyszukanej pomady.

Na ławie pod ścianą siedli wreszcie wszyscy trzej. Abuś najpierw przyjrzał się jej nieufnie.

— Czysta jest, księże dobrodzieju! — roześmiał się Wilczyński. — Wytarliśmy ją już naszymi ubraniami najskrupulatniej...

Abuś spojrzał przelotem na wzmiankowane „ubrania" i westchnął.

— Czy pragnie który z was spowiedzi? pojednania z Bogiem?

Wilczyński uśmiechnął się powtórnie:

— Kalwinem jestem, księże dobrodzieju, zresztą z Bogiem i ludźmi najzupełniej pojednany.

Abuś zwrócił się do Brzózki pytająco.

— Ja — rzekł Brzózka — nie jestem kalwinem, ale katolickim wikarym, zasuspendowanym i wyklętym przez swego biskupa.

— Odwołasz, księże wikary, swoje błędy, prawda? — pojednawczo mówił abuś. — W tej ważnej, ostatniej chwili nie będziesz się upierał, złożysz oświadczenie, żeś zszedł na manowce, że jednak żałujesz tego i z powrotem poddajesz się władzy kościelnej i boskiej...

— Czy ty wiesz, księże kapelanie, za co jestem zasądzony na śmierć i jakie to były owe „manowce?"

Abuś z zafrasowaną uprzejmością czekał wyjaśnienia.

— Francuz jesteś, ale w domu polskim będąc, musisz wiedzieć, na co się nasz naród porwał — czym chciał odpowiedzieć na gwałt i przemoc barbarzyńców...

— No tak — zgodził się grzecznie abuś, delikatnie przygładzając fałd sutanny na kolanie. — Ale — myślę — tak źle nie było. Poznałem kilka domów rosyjskich w Petersburgu, z tych, które bywają u hrabstwa Platerów, Ożarowskich i Mostowskich. Wcale takie barbarzyńskie mi się nie wydały. Wierzcie mi. Bardzo dystyngowani ludzie, dobrze wychowani — panie doskonale się ubierające — wszystko po francusku mówi pyłnnie i zna na pamięć — któż by uwierzył? i Musseta i George Sand...

— Ach tak — przerwał Brzózka. — Nie chciałem propagandy czynić na rzecz Polski w oczach księdza kapelana — tylko to chciałem powiedzieć, że uważałbym za zdradę, gdybym w chwili ostatniej, chociażby dla własnego zbawienia duszy — wyparł się pracy całego żywota i wszystkiego, com uważał i co uważam i co chciałbym, aby uważano w mojej Ojczyźnie za trzykroć święte.

— Ależ, księże wikary, jeśli ksiądz nie odwoła swych błędów, tych, co spowodowały klątwę biskupią — to nie będę mógł udzielić mu absolucji...

Ksiądz Brzózka rozłożył ręce na znak, że nie ma rady. Abuś grzecznie przytakiwał, widocznie zadowolony, że się może wywinie od przykrych widoków i od spaceru po deszczu i błocie. Poza tym, kto wie, czy w głębiach jego perfumowanej duszyczki nie tłukło się przekonanie, że Panu Bogu niewiele by przyszło z nawrócenia tego biednego oberwańca, którego ręce na pewno ze dwa lata wody nie widziały.

— Cała Europa z wami współczuje — rzekł mimo to, niby salonową rozmowę przerwaną nawiązując. — W Hiszpanii

najmodniejsze są teraz czarne dżety, które nazwano „ł z a m i p o l s k i m i". Krawczynie damskie nastarczyć ich wprost nie mogą, a że najmiłościwiej nam panująca cesarzowa Eugenia jest, jak panom wiadomo, Hiszpanką rodem, więc nadzieję mieć można, że i Francja przyjmie owe dżety za niezbędny artykuł mody — a z Francji rozejdą się „polskie łzy" po całej Europie...

— Tak sądzisz, księże kapelanie? — rzekł z roztargnieniem Brzózka.

Abuś zdziwił się, że większego wrażenia nie uczyniła jego wiadomość, bądź co bądź mile chyba łechcząca polski patriotyzm, a wykluczone było, aby ci oberwańcy, żyjący ponoś od dwóch lat w lesie i ponoś surowym mięsem się żywiący — aby wiedzieli już cokolwiek o dernier cri mody, o wspomnianych dżetach. Lecz w tej chwili przypomniał sobie, że za pół godziny najdalej tych dwóch ludzi powiozą na szubienicę, że więc żadną miarą w danym momencie wstrząsnąć nimi nie może informacja, skądinąd doniosła, jaki rodzaj dżetów noszą panie przy sukniach, w Madrycie...

Zdrowy jego, nie znający fizycznego bólu organizm, łakociami hodowany, nie mógł ani rusz objąć perspektywy śmierci. Wracał do niej raptownie, krótkimi tylko nawrotami, które się w tej chwili rozbijały z trzaskiem o jakiś drobny szczegół, o obowiązek podtrzymywania rwącej się konwersacji. Następnie znowu wracała myśl o szubienicy, czekającej tych dwóch, i mieszała go własna, nietaktowna gadanina.

Męczył siebie i męczył ich — to też z pewną tęsknotą spoglądał ku drzwiom i z ulgą odetchnął, gdy drzwi rozwarły się z hukiem i kilku żołdaków weszło w pełnym rynsztunku bojowym.

Brzózka zbladł — Wilczyński stał się czerwony, jakby mu krew trysnąć miała źrenicami.

Machinalnie powstali wszyscy i przez mgnienie oka była taka przeraźliwa cisza w lamusie, jakby żadna istota żyjąca

nie znajdowała się nie tylko w jego murach, ale w promieniu kilkunastu mil dokoła. Wiatr nawet — zdawało się — zatrzymał swą deszczową lawinę.

Lecz runął w tej chwili nowy potop i kozacy przystąpili do wiązania rąk skazanym.

— Mogę odejść? — spytał szczerze zatroskany abuś.

— Jak to odejść?! — zirytował się oficer. — Masz ich ksiądz odprowadzić aż na miejsce stracenia.

— Nie spowiadali się wcale... — tłumaczył się abuś, urażony nieco tonem oficera.

— Ale mnie co do tego?! — odburknął wyszlifowany porucznik. — Iść musisz, bo krzyczałaby potem cała Europa, że my nawet pociechy religijnej odmawiamy tym drabom...

Drzwi otworzono na rozcież.

Zaszumiała ulewa, tak gwałtownie bijąc w twarze, że elegancki abuś z rozpaczą spojrzał na swoje lakierki, a potem na Brzózkę, który obojętnie wszedł w błoto.

— Dobrze tobie! — zdawał się mówić zdesperowanymi oczyma. — Ty tam zostaniesz, ale ja jeszcze będę musiał wracać w ten psi czas!!!

Podjechał wózek, błotem umazany, ledwo wymoszczony.

Jeszcze raz żachnął się abuś na widok takiego pojazdu, lecz śpieszono, więc wsiadł i zaczęła się jazda jakaś zwariowana. W galopie jechali oni i konwojująca ich sotnia kozaków. Podrzucani na wozie, odbijali się o siebie, zataczali jak pijani. Abuś kurczowo trzymał się drabiny, a jego piękne, czarne, jelonkowe rękawiczki stawały się na deszczu coraz niezdecydowańszej barwy.

Ten deszcz spływał im po twarzach i sukniach jak z rynny, trzepiąc miotełkami swych kropli z tępą zawziętością. Nie było słychać ani łomotu, który galopujące konie czyniły, ani turkotu wozu — nic — tylko szum ulewy, głuchy, bezbrzeżny, niepowstrzymany.

Wreszcie ukazało się miasto.

Mały, drewniany kościołek św. Rocha ciemną swą glazurą wystąpił na powitanie i zakołatało serce Brzózki. Toż to jego kościół był, w którym pierwszą miał mszę — w którym pierwszy wezwał lud do boju.

Wytężył wzrok, aby dojrzeć, czy wstawiono już szczapę, oderwaną za jego czasów przy odrzwiach, ale niczego nie dojrzał, bo deszcz bluznął mu w twarz mokrym przekleństwem, i wjechali na rynek.

Mimo deszczu, tłum stał zwarty, milczący, ponury — jedno olbrzymie, lśniące od wody półkole dookoła szubienicznego rusztowania.

Oczy skazańców niespokojnie szukały groźnej sylwetki wśród szarugi deszczowej i biły im serca huraganem aż do chwili, kiedy zarysowała się im oślizgła, czworogranna prawie bramka na rusztowaniu i dwa sznury, czarne, długie, zwisające od poprzecznej belki.

Wówczas serca im bić przestały, jakby ulgę znajdując w skonstatowaniu, że wszystko jest w porządku.

Z wzrastającego szumu ulewy, wśród której nie było słychać galopu kilkuset koni — wyłaniać się jął raptem głos dominujący, potężniejszy od niej. To lud zgromadzony ukląkł i szeptem odmawiał pacierze...

Brzózka uczuł nagły napływ miłości ogromnej do tego ludu wiernego, z którego wziął ongi wszystkich swoich żołnierzy prawie, z którego synów uformował wszystkie prawie swoje szeregi i któremu odwoził oto tego jednego, ostatniego... wzamian za wszystkich.

I miłość ta zabiła w nim momentalnie uczucie strachu i śmiertelnej rozpaczy.

Wilczyński szukał mozolnie znajomych twarzy. Zobaczył terminatora swego, tęgiego łobuza — zobaczył matką swoją, zidiociałą staruszkę, wspartą na hożej dziewczynie, której nie znał.

Może to ta „J a g o d a", którą mu przeznaczali, gdzieś aż spod Radzymina, na żonę?

Żal mu ścisnął serce. Hej! kraśna dziewczyna! jedyna wśród wszystkich!...

Uśmiechnął się do niej porozumiewawczo — bo wózek zwolnił biegu — a dziewczyna zarumieniła się gwałtownie, a potem zbladła i zaniosła się od płaczu.

— At, beksa! — powiedział sobie Wilczyński i przestał żałować tego czegoś nieokreślonego.

Wózek stanął. Wysiedli cali mokrzy, strugami wody znacząc każdy krok.

Audytor zaczął czytać wyrok, nerwowym, charczącym głosem. Tłum zawisł na jego ustach, bo rozeszła się pogłoska, że cesarz ułaskawi skazańców pod samą szubienicą.

Ale nie, bo oto podano im śmiertelne koszule. Wilczyńskiemu zarzucił ją pomocnik kata — Brzózka wdziewał ją sam, powolutku.

Tyle razy w ten sposób zakładał komżę przez głowę, szacunku pełen dla ślicznych, wykrochmalonych koronek, obszytych u dołu — albo kapę złocistą, twardą od lamy. . .

. . . .

Stali teraz, biali, u stóp rusztowania, jak dwa tragiczne pierroty, z rękoma w tył związanymi.

Wyniosły ich wraże ręce z lasu, jak wynoszą nieraz ręce niegodne monstrancję z tabernakulum i okazują ludowi, w białym welonie spowitą.

Ludzie pochylili głowy jak przed monstrancją, a wokół szumiała ulewa swoje: „T e d e u m l a u d a m u s"... Ciebie, Ojczyzno, któraś jest Bogiem, chwalimy...

Oczy Brzózki, zapatrzone miłośnie w lud, zdawały się mówić:

— Wszystko jest kolebką Tobie, Ojczyzno! i te pola na pozór straszne, na których położyły się Twoje syny — i te

lodowe kazamaty sybirskie — i to rusztowanie, na którym zawisną nasze ciała — wszystko jest Tobie kolebką, Ojczyzno! grób jest tylko nam, przechodzącym...

Zwrócił twarz ku Wilczyńskiemu, prawie że promienną:

— Wolno nam już umrzeć, drogi! — rzekł szybko. — Gdy ONA zapotrzebuje rąk, będą inne, i tęższe i młodsze i zawsze gotowe do broni... — Uśmiechnął się poprzez mrący już ból doczesny — chciał krzyknąć całą piersią temu kochanemu tłumowi: „Niech żyje Ojczyzna"! — ale uderzono w bębny z wściekłością.

Weszli tedy, milcząc, na stopnie, plącząc się w śmiertelnej koszuli. Wilczyński obejrzał się raz jeszcze za nieznajomą, kraśną dziewczyną, która nad nim, nieznajomym, płakała, ale ona wsiąkła już w tłum i nie mógł jej dojrzeć.

Kat, czekający na górze, zarzucił im mokre lasso na szyje, jak zwierzętom, na które się czyha zza drzewa. Tłum w odpowiedzi zawył — rozpacznym, dzikim głosem — głusząc łoskot ulewy i łoskot bębnów.

Abuś zakrył twarz wilgotnymi rękawiczkami, farbując sobie twarz na czarno, i mamrotał:

— Mon Dieu! c'est affreux... Sainte Marie, Vierge immaculée, priez pour moi... c'est affreux... Dieu, que c'est affreux...

Wśród tych głosów, tego rozpętanego wycia, warczenia bębnów i nie kończącego się szumu ulewy, kat bezgłośnie trącił stołek pod nogami Brzózki.

Zakołysał się Brzózka lekko, nie skrzywiwszy nawet twarzy. Potem kat trącił drugi stołek i obaj wisielcy jęli się chwiać w rozwilgotniałym na szczęt powietrzu, niby dwa białe, ofiarne komunikanty, podawane niebu drżącą ręką.

Deszcz zaś spokojnie płynął po ich nienaturalnie wydłużonych ciałach, jak po słomianym chochole, kryjącym nie wiadomo co.

Są takie chochoły — w ogrodach — co kryją na sen zimowy krzaki płomiennej róży, aby z wiosną mogła na nowo zakwitnąć.

K o n i e c



Złoczów.

4 kwietnia 1913 r. w sto dziewiętnastą rocznicę stracenia Kamila Desmoulins — w czterdziestą ósmą rocznicę pojmania Brzózki i Wilczyńskiego, ostatnich zbrojnych polskich powstańców.

Ostatnich — wówczas.

20,-





CENA 5/6